

Lindsay Armstrong

Na Złotym Wybrzeżu

PROLOG

Wspólna jazda taksówką z pewnym zabójczo przystojnym mężczyzną podczas burzy w Sydney zmieniła życie dwudziestodwuletniej Rhiannon Fairfax.

Kiedy w ociekającym deszczem jaskrawożółtym płaszczu dotarła na postój, czekał jako pierwszy w kolejce. Na szczęście akurat podjechała taksówka. W rozpaczycy spytała, czy pozwoli jej wsiąść. Ponieważ jechali w tym samym kierunku, wyraził zgodę. Zajmowali miejsca, wysłuchując sarkania kierowcy, że zamoczą siedzenie. Kiedy wreszcie usiedli, Rhiannon zdjęła kaptur. Pod spodem miała granatowy beret naciągnięty na uszy, pod który upchała włosy. Nieznajomy obserwował jej poczynania z rozbawieniem.

- Co za dzień! - zagadnęła.
- Pani jest przynajmniej odpowiednio ubrana.
- Cóż, raczej praktycznie niż elegancko, stosownie do warunków - ucięła.

Dopiero gdy trochę ochłonęła, przyjrzała się uważniej współpasażerowi. Wysoki, barczysty mężczyzna o regularnych rysach, gęstych, ciemnych

włosach i głębokich, błękitnych oczach zrobił na niej wielkie wrażenie. Nosił grafitowy garnitur od doskonałego krawca. Oceeniła go na niewiele ponad trzydzieści lat. Roztaczał wokół siebie aurę władzy. Przypuszczała, że piastuje wysokie stanowisko. Przemknęło jej przez głowę, że w innych sprawach również doskonale sobie radzi. W jakich? Z pewnością nie spędził całego życia za biurkiem. Patrząc na ładny profil, opaloną twarz i smukłe dłonie, zabroniła sobie dalszych spekulacji na jego temat, zwłaszcza że pochwyciła jego zaciekawione spojrzenie.

- Przepraszam - mruknęła z zażenowaniem - ale pewnie przywykł pan do ciekawskich spojrzeń.

- Mógłbym to samo powiedzieć o pani, ale na razie niewiele widać - odparł, mierząc wzrokiem jej postać pod przypominającym obszerny namiot **sztormiakiem**.

- Łatwo nawiązuje pan kontakty - zauważyła, ku własnemu zaskoczeniu już zupełnie swobodnym tonem. Pozytywna zmiana, jaka zaszła pół godziny wcześniej w jej życiu, wprawiła ją w szampański humor.

- Wręcz przeciwnie. Bynajmniej nie zależy **mi** i pewnie długo jeszcze nie będzie zależało na nawiązywaniu nowych znajomości - odparł. Rysy mu stwardniały, lecz już po chwili obojętnie wzruszył ramionami. - A pani?

- Podobnie - mruknęła z zażenowaniem, zbierając niezręcznie fałdy obszernego płaszcza. - Mężczyźni mi obrzydli, chyba na całe życie.

- Dlaczego?

- Nieważne. - Rhiannon z wysiłkiem odwróciła wzrok ku oknu. - Proszę mi przypomnieć, o czym mówiliśmy poprzednio? - spróbowała odwrócić jego uwagę od niewygodnego tematu.

- O pani atutach - odrzekł, patrząc prosto w błyszczące, brązowe oczy.

- Cóż, nie należę do piękności, ale mam niezłą figurę, naturalne blond włosy pod tym ohydny beretem, no i podobno niezłe nogi, choć matka przełożona w prowadzonej przez zakonnice szkole wielokrotnie przestrzegała, że mogą mnie sprowadzić na manowce. Tam liczyło się tylko piękno duszy. Za to w następnej szkole nie traktowano cielesnych walorów jak pierwszego stopnia do piekła. Odebrałam dość staranne wykształcenie - dodała na widok zdziwionej miny współpasażera.

- Szkoda, że nie mogę sam ocenić, czy popełnia pani grzech pychy - odrzekł z poważnym wyrazem twarzy, któremu przeczyły figlarne błyski w oczach.

Dalsza podróż upłynęła w miłej atmosferze. Zadowolona, odprężona już Rhiannon gawędziła swobodnie. Po opuszczeniu miasta skręcili w elegancką, obsadzoną drzewami drogę do Woo-

lahara. Mężczyzna poinformował, że chce wyjechać, ale kierowca nie zareagował. Nagle stracił kontrolę nad kierownicą na śliskiej, mokrej szosie. Wjechał na chodnik, uderzył w drzewo, złamał barierkę i zawisł na skale nad przepaścią. Pasażerowie nie ucierpieli, ale taksówkarz stracił przytomność. Od runięcia w przepaść dzieliły ich zaledwie sekundy. Wysiedli tak szybko, jak mogli, w strugach deszczu, pod naporem nawałnicy zadzwonili po pomoc. Następnie wspólnym wysiłkiem otworzyli wgniecione drzwi. Jedynie refleks nieznanego uratował kierowcy życie. Położyli go na trawie, na znalezionym w bagażniku kawałku folii. Rhiannon przykryła go swoim płaszczem. Przemoczeni, ubłoceni od stóp do głów, podrapani, patrzyli bezradnie, jak taksówka powoli zsuwa się w dół po zboczu.

- Dzięki Bogu, że go wydostaliśmy! - krzyknęła Rhiannon. - Ma pan skaleczoną rękę i zniszczoną marynarkę - zauważyła po chwili.

- Nic mi nie jest.

W tym momencie usłyszeli wycie syren. Wkrótce nadjechały karetka i radiowóz. Lekarz nie stwierdził u kierowcy poważniejszych obrażeń. Po złożeniu zeznań, zdjęta współczuciem policjantka zaprosiła Rhiannon do auta. Pozwolono jej zadzwonić po następną taksówkę. Przybyła prawie natychmiast, co Rhiannon uznała za prawdziwy cud w tak okropnych warunkach. Gdy wysiadała z radiowo-

zu, jej towarzysz podróży jeszcze składał relację funkcjonariuszowi. Zmieszana, spytała, czy chce jechać razem z nią.

- Nie, dziękuję, pójdę pieszo, jestem prawie na miejscu.

- W takim razie pozwoli pan, że zapłacę swoją część... - zaproponowała, sięgając do torebki.

- Wykluczone. - Zdecydowanym ruchem przytrzymał jej rękę. Równocześnie skierował wzrok poniżej rąbka krótkiej, wąskiej spódniczki.

- A z nóg rzeczywiście może być pani dumna - dodał.

Dotykiem gorącej, opalanej dłoni wraz z nieoczekiwanym komplementem wywołał rumieniec na policzkach Rhiannon. Na widok uwodzicielskiego, czy też raczej szelmowskiego uśmiechu przez całe jej ciało przebiegi dziwny dreszczyk. Pożegnała go pospiesznie.

Nieznajomy odprowadzał ją wzrokiem, póki, cała w pasach, nie wsiadła do taksówki.

Gdy dopadła do domu, zastała ojca przed telewizorem, niemalże w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła. Odetchnąwszy z ulgą, ucałowała go w czubek głowy i pobiegła wziąć gorący prysznic.

W sypialni poraził ją widok własnego odbicia w lustrze. W życiu nie wyglądała gorzej. Z trudem

rozpoznała własną twarz w ohydny, naciągniętym na uszy berecie. Cisnęła go z wściekłością w najciemniejszy kąt. Że też musiała zaprezentować tak koszmarny wizerunek najprzystojniejszemu mężczyźnie, jakiego w życiu widziała!

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cztery lata później Rhiannon Fairfax, już znacznie dojrzalsza niż wtedy, gdy spotkała mężczyznę w taksówce, siedziała zrezygnowana na lotnisku. Zapowiedziano opóźnienie odlotu jej samolotu. Z nudów zaczęła obserwować pasażerów. Zwróciła uwagę na wysokiego, barczystego mężczyznę o ciemnej cerze i wspaniałej sylwetce. Bez trudu rozpoznała władcą postawę i regularne rysy. To był on! Nie ulegało wątpliwości, że to z nim jechała taksówką pamiętnego deszczowego dnia. Towarzyszyła mu wysoka, smukła, nienagannie ubrana kobieta o równie ciemnej karnacji i włosach. Do owego doskonałego wizerunku dziwnie nie pasował pokorny wyraz twarzy. Nagle jego wzrok spoczął na Rhiannon. Następnie nieoczekiwanie obdarzył uśmiechem partnerkę. Jej twarz rozjaśnił wyraz absolutnej błogości. Nie ulegało wątpliwości, że coś ich łączy. Wreszcie rozeszli się w różnych kierunkach, ona - uszczęśliwiona, on - z podniesioną głową.

Rhiannon wstrzymała oddech. Wyglądało na to, że ten władczy mężczyzna bierze z życia to, co

najlepsze, i zawsze otrzymuje to, czego chce. Wróciła myślami do przygody sprzed lat. Dopiero gdy pochwyciła jego spojrzenie, uświadomiła sobie, że bezwiednie uśmiecha się do wspomnień. Uśmiech zastygł na jej ustach. Nieznajomy mierzył ją wzrokiem od starannie wymodelowanej fryzury poprzez szary kostium ze spodniami aż po czubki butów. W końcu przelotnie popatrzył jej w oczy, wzruszył ramionami i odwrócił się tyłem.

Rhiannon zastygła w bezruchu, policzki jej płonęły. Czemu tak na nią patrzył? Była pewna, że jej nie rozpoznał. W niczym nie przypominała przemokniętej dziewczyny w ohydny berecie. Wyglądało na to, że fałszywie zinterpretował jej uśmiech.

Zapowiedź odlotu wyrwała ją z zamyślenia. Zajęła miejsce w kabinie drugiej klasy, podczas gdy nieznajomy wsiadł do pierwszej. Zanim wylądowali na Złotym Wybrzeżu, zdołała sobie wytłumaczyć, że arogancki bogacz wcale jej nie interesuje.

Przez ostatnie pół godziny lotu analizowała swoją życiową sytuację. Pracowała dla bogatych, czasami nawet sławnych ludzi, jako coś w rodzaju gosposi, tyle że na krótkotrwałe zlecenia. Urządzała przyjęcia, rodzinne uroczystości, albo też organizowała na nowo ich gospodarstwa domowe. Nie o takiej karierze marzyła. Spędziła szczęśliwe dzieciństwo w domu zamożnych, sławnych rodzi-

ców. A potem wszystko straciła po śmierci mamy. Z perspektywy czasu żałowała, że nie zdobyła jakiegoś praktycznego zawodu. W drogiej szkole, czy raczej pensji dla zamożnych pańienek, w Szwajcarii nie nauczono jej właściwie niczego prócz prowadzenia domu na wysokim poziomie. W wieku dwudziestu sześciu lat wykorzystywała więc jedyne umiejętności, jakie zdobyła, prowadząc własne, jednoosobowe przedsiębiorstwo. Ponieważ lubiła gotować i w wykwintny sposób dekorować wnętrza, drogo sprzedawała swoje talenty. Rzadko przyjmowała dłuższe niż miesięczne zlecenia. Obecny pracodawca skusił ją wysokim wynagrodzeniem i ciekawym wyzwaniem. Nie poznała go jeszcze osobiście. Większość informacji o jego rodzinie wyczytała w kolorowej prasie.

Otóż Southall, obszerny wiejski dom, malowniczo położony na Żłotym Wybrzeżu, należał do rodziny Richardsonów, właścicieli ogromnych obszarów pastwisk w Queensland i rozlicznych farm bydła w zachodniej i północnej Australii. Ze względu na walory krajobrazu państwo Margaret i Ross Richardsonowie wybrali Southall na swoją główną siedzibę. Pięć lat temu pani Richardson zmarła. Wdowiec szybko poślubił młodą kobietę, która mogłaby być jego córką. Ross Richardson zamieszkał z nową żoną, modelką Andream Comeró, na południu Francji, gdzie zmarł rok temu.

Zarządzanie majątkiem przekazał starszemu synowi, Lee.

Gdy żenił się powtórnie, żaden z jego dwóch synów nie miał żony, lecz wkrótce młodszy, Matthew, poślubił telewizyjną gwiazdkę, Mary Wiseman. Po półrocznej podróży poślubnej dookoła świata zabrał młodą żonę do Southall. Natomiast o starszym z braci Richardsonów, Lee, nie wiedziała nic, chociaż to on ją zatrudnił.

Jego zastępca, starannie dobierając słowa, dał Rhiannon do zrozumienia, że dwudziestodwuletnia Mary Richardson nie ma pojęcia o prowadzeniu domu. Ponieważ jednak pragnęła uchodzić za doskonałą gospodynię, zależało jej na tym, by Southall nie straciło reputacji otwartego, gościnnego domu na najwyższym poziomie. Rhiannon nie interesowało, czemu Lee postanowił wybawić bratową z opresji. Grunt, że zaproponował jej złoty interes.

Po odebraniu bagaży z taśmy, Rhiannon zgodnie z instrukcją podeszła do okienka informacji. Już otwierała usta, by podać swoje nazwisko, gdy głęboki, nieco ochrypły głos spytał za jej plecami urzędniczkę, czy Rhiannon Fairfax się zgłosiła. Rhiannon odwróciła głowę i zamarła w bezruchu. Oto znów stała twarzą w twarz z nieznanym z taksówki. Zmierzył ją wzrokiem.

- Proszę, proszę, kogóż to znowu widzimy?

Oto dama, która kokietowała mnie w Sydney, chociaż określenie „dama” uznałbym w tych okolicznościach za mocno przesadzone.

Rhiannon kilkakrotnie otworzyła usta, lecz nie zdołała wykrztusić ani słowa. W końcu po daremnych wysiłkach odzyskała rezon.

- Nic podobnego! - odparła lodowatym tonem.
- Gardzę takimi gierkami.

- Gadanie, panienko.

- Rzecz w tym, że rozmawia pan właśnie z poszukiwaną Rhiannon Fairfax - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- A to ciekawe! Proszę sobie wyobrazić, że rozmawia pani z Lee Richardsonem, swoim...

- zrobił efektowną pauzę - pracodawcą.

- Och! - jęknęła tylko. Nic mądrzejszego nie przyszło jej do głowy.

- Cóż, życie jest pełne niespodzianek - skomentował, nie kryjąc rozbawienia.

- Dość tej zabawy! - przerwała ostro. - Jeśli nie odpowiada panu moja kandydatura, wracam do Sydney.

- Niestety to niemożliwe - wtrącił jeden z urzędników, który uprzednio z zainteresowaniem przysłuchiwał się wymianie zdań. - Ostatni samolot odleciał pół godziny temu.

- Trudno, spędzę noc w motelu.

- Na to z kolei ja nie pozwolę - dorzucił z niezmaconym spokojem Lee Richardson. - Przy-

leciałem specjalnie po to, żeby odwiedzić panią do Southall. Rozpaczliwie potrzebujemy pani pomocy. Moja bratowa wydaje jutro przyjęcie. Jeśli odrzuci pani zlecenie, czeka nas straszliwa kompromitacja.

- Dlaczego?

- Podała dostawcom niewłaściwy termin, a niedzielę, dzień przyjęcia, mają już zajęta, podobnie jak wszystkie inne firmy cateringowe wzdłuż całego wybrzeża. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że w tak krótkim terminie niewiele pani zdziałała.

- Nie docenia mnie pan. Jeśli tylko znajdzie w pobliżu jakiś sklep, zastawię stoły przysmakami w jeden wieczór.

Lee Richardson ponownie obrzucił badawczym spojrzeniem smukłą, kobiecą sylwetkę o wzroście prawie metr siedemdziesiąt, w szarym garniturze i czarnej bluzce. Starannie ostrzyżone do wysokości podbródka blond włosy rozdzielał równy przedziałek. Odnosił wrażenie, że już ją kiedyś widział. Jak przez mgłę przypominał sobie te błyszczące, orzechowe oczy, długie rzęsy, głos, tylko nie wiedział skąd. Nie potrafił orzec na podstawie wyglądu, czy stać ją na to, by wybawić go z opresji. W niczym nie przypominała żelaznej damy, jaką sobie wyobrażał. Mimo nienagannego wizerunku z tymi ponętnymi krągłościami nie wyglądała na profesjonalistkę. Na jej korzyść przemawiał jedynie chłodny sposób bycia, krańcowo odmienny od

zachowania na lotnisku w Sydney. Wtedy patrzyła na niego z zalotnym uśmiechem, który działał jak dzwonek alarmowy.

- Ciekawe, czy podoła pani zadaniu.

- Bez wątpienia, panie Richardson - odparowała z gniewnym błyskiem w oku. - Tylko proszę sobie za dużo nie wyobrażać - dodała na widok cienia uśmiechu.

- Na przykład czego?

- Proszę przyjąć do wiadomości, że przyjmuję tę ofertę wyłącznie dlatego, że żal mi pana bratowej. Równie dobrze mogę zabrać walizki i wrócić jutro do domu.

- Proszę wybaczyć, panno Fairfax - odrzekł z nieoczekiwaną galanterią. - Chyba źle panią oceniłem. Teraz wierzę, że wybrałem właściwą osobę. Jedziemy.

Kiedy Lee Richardson wiozł ją stromą, krętą drogą pod górę w głąb ładu, w głowie Rhiannon nadal kłębiły się myśli. Z jednej strony żałowała, że nie odrzuciła oferty aroganta, z drugiej - rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy. Ponieważ zmrok dawno zapadł, żadne widoki nie kołły wzburzonego umysłu. Wśród otaczających ciemności czuła się tak, jakby zamknięto ją w odizolowanej od świata kapsule z tym wielce niepokojącym mężczyzną. Wkrótce skręcili w boczną, obsadzoną drzewami drogę. Po pokonaniu

kilku kolejnych zakrętów przystanęli przed potężnym kamiennym murem. Otworzyła się zdalnie sterowana, imponująca brama z kutego żelaza i wjechali do garażu na cztery auta.

- Ależ pani milcząca - zauważył.

- Zastanawiam się, w co wdepnęłam - wyjaśniła lakonicznie.

- W pani zawodzie zapewne nie brakuje niespodzianek. Pewnie doprowadziła pani do ładu niejedno zaniedbane gospodarstwo - dodał z nieznacznym uśmiechem.

- Owszem - odpowiedziała, nie odwzajemniając uśmiechu. - Ale nie miałam na myśli kłopotów zawodowych. Prawdę mówiąc, nie zrobił pan na mnie najlepszego wrażenia.

- Jeśli potraktowałam panią dość obcesowo, to tylko z tej przyczyny, że zaczęła mnie pani na lotnisku w niedwuznaczny sposób.

- To nieporozumienie. Przyglądałam się panu tylko dlatego, że widziałam pana już wcześniej.

Lee zmarszczył brwi, uważnie obejrzał jej spodnie, po czym powoli podniósł wzrok ku twarzy.

- Szkoda, że nie włożyła pani spódnicy, bo na pewno bym panią rozpoznał.

Rhiannon dałaby głowę, że dokonał właściwego skojarzenia. Zamrugała na wspomnienie zakłopotania, w jakie ją wprowadził.

- Oprócz pary nóg mam jeszcze głowę - przypomniała chłodno.

- Sama pani zwróciła na nie moją uwagę.
- Cztery lata temu.
- Tak dawno? Rzeczywiście wydorosłała pani.

Po rozszechobotanej trzpiotce nie pozostał nawet ślad.

- Pozory mylą. Świetne zlecenie, które otrzymałam tamtego dnia, wprawiło mnie w doskonały humor.

- Czy raczej męskie towarzystwo mimo szumnej deklaracji niezależności?

- Cóż, nadal nie interesuje mnie nawiązywanie nowych znajomości - odparła wbrew rzeczywistym odczuciom. - Mam nadzieję, że pana również.

- Jeśli o mnie chodzi, ma pani rację. Dziwne tylko, że mnie pani zapamiętała - rzucił, jakby mimochodem.

Rhiannon nie odpowiedziała od razu. Popatrzyła na ręce, odgarnęła włosy z twarzy nieświadomie kokieterijnym gestem.

- Wolałabym do tego nie wracać. Proszę przyjąć, że z powodu niezwykłych okoliczności przedniego spotkania.

Lee dość długo rozważał jej słowa, uważnie obserwując dumnie uniesioną głowę. Określiłby jej profil jako władczy, królewski, gdyby nie łagodziła go miękka linia warg. Szybko zabronił sobie dalszych rozważań, żeby nie komplikować i bez tego niełatwej sytuacji.

- No dobrze - mruknął pojednawczo.

Ta nieoczekiwana zmiana sprawiła Rhiannon taką przykrość, jakby zatrzaskała jej drzwi przed nosem. Nie pojmowała, dlaczego spełnienie jej prośby przyniosło rozczarowanie zamiast satysfakcji.

Zastali dom zamknięty, a światła wygaszone. Na ten widok Lee Richardson zmarszczył brwi, najwyraźniej zdziwiony. Wyciągnął klucze, otworzył ciężkie, drewniane drzwi. Poprowadził Rhiannon przez wyłożony marmurami hol do obszernej, nowoczesnej kuchni z granitowymi blatami, potężnym piecem, wielką lodówką. Stół z sosnowego drewna otaczało sześć krzeseł. Kilka barwnych roślin w doniczkach zdobiło wnętrze. Profesjonalne oko Rhiannon odruchowo odnotowało szczegóły.

Lee odsłuchał wiadomość z sekretarki, nagrąną przez jakiegoś najwyraźniej zdenerwowanego mężczyznę:

„Tu Matt. Mary związała do matki, pewnie ze wstydu za to zamieszanie z dostawcami. Wyraziła nadzieję, że pani, którą wynająłeś, poradzi sobie lepiej od niej z organizacją imprezy. Ja wylatuję z Perth dopiero w niedzielę po południu. Odbiorę ją i przywiozę. Nie gniewaj się, że zostawiła was samych z tym całym kramem. Tak to już bywa z ciężarnymi. Aha, niewykluczone, że przyjedzie nieco więcej gości” - dodał po chwili przerwy.

Lee zaklął pod nosem.

- Nie zostawiła gdzieś przypadkiem listy zaproszonych? - spytała Rhiannon.

- Nie, tego rodzaju rozsądne pomysły nigdy nie przychodzą jej do głowy - odburknął gospodarz, wzruszając lekceważąco ramionami. - Napije się pani czegoś?

- Lampka wina dobrze by mi zrobiła - przyznała, zanim opadła na krzesło.

Lee wyjął schłodzoną butelkę z lodówki. Dla siebie zmieszał szkocką whisky z wodą.

- Miewała już pani tego rodzaju kłopoty?

- Nie. Kobiety w ciąży rzeczywiście miewają zmienne nastroje - mruknęła jakby do siebie, marszcząc nos. - O ile wiem, jest aktorką? - dodała pospiesznie już znacznie głośniej.

- Tak - potwierdził, obrzuciwszy ją badawczym spojrzeniem. - Najchętniej odwołałbym to całe przyjęcie.

- Ale mimo niechęci nie chce pan obrazić bratowej - dokończyła za niego.

- Słuszna uwaga - przyznał. - Prawdę mówiąc, cztery lata temu nie wyglądała pani na tak trzeźwo myślącą. Swoją drogą, profesjonalne podejście do sprawy wcale nie odbiera pani uroku - dodał, nie kryjąc rozbawienia.

Zbił Rhiannon z tropu. Upiła łyk wina, żeby zyskać na czasie.

- Pewnie do końca życia nie pozwoli mi pan

zapomnieć tych paru zdań, zamienionych w tak-sówce. W każdym razie na pewno nie do czasu zakończenia zlecenia - poprawiła się niezręcznie.

- A teraz chciałabym obejrzeć dom - dodała lodowatym tonem.

- Ależ proszę bardzo. Oprowadzę panią.

Rhiannon obudziła się następnego dnia o wschodzie słońca w stylowej sypialni o błękitnych ścianach, z podwójnym łóżem, francuskimi meblami w stylu kolonialnym i własną łazienką. Poleżała chwilę w łóżku, żeby zebrać myśli. Dom z kamieni, ze spadzistym dachem zrobił na niej wielkie wrażenie. Dach werandy podtrzymywały żłobkowane kolumny, oplecione kwitnącymi pnączami. Nieopodal krzew jaśminu pachniał odurzająco. Okna osłaniały drewniane okiennice. Wyłożone płytami podwórze zdobiły fontanna i donice z terakoty z różowymi kameliami. W wysokich, przestronnych pokojach na woskowanych parkietach leżały perskie i chińskie dywany. Nowoczesne obicia z aksamitu barwy miodu i z białego brokatu harmonizowały z zabytkowymi meblami. Niezliczone lampy oświetlały wnętrza przeróżnymi odcieniami ciepłego blasku. Stół na szesnaście osób w jadalni zdobiły misterne inkrustacje. W kredensie znalazła lniane obrusy po przodkach z aplikacjami z koronki, mnóstwo kryształowych naczyń i sześć serwisów obiadowych. Jeden z wzo-

rów, bardzo stary, z ptakami na gałązkach, znała z rodzinnego domu. Niektóre z wymyślnych sztuców, jak specjalne widelce do ryb, zaprojektowano chyba tylko po to, żeby zapewnić służbie stałe zajęcie przy polerowaniu. Mimo całego przepychu rezydencja sprawiała wrażenie nieco zaniedbanej. Właściwie nic dziwnego, skoro od kilku lat brakowało tu kobiecej ręki.

Nagle Rhiannon doznała olśnienia. Pojęła, czemu Lee Richardson robił wrażenie twardziela w rodzaju kowbojów z westernów. Zarówno spędzone na farmie dzieciństwo, jak i zarządzanie olbrzymim przedsiębiorstwem hodowlanym zahartowały ciało, nauczyły go logicznego myślenia, wyrobiły w nim zdolność do podejmowania błyskawicznych, trafnych decyzji. Musiała przyznać, że mimo fatalnych doświadczeń z przeszłości rozpała jej wyobraźnię.

Narzeczony zostawił ją, kiedy odkrył, że nie odziedziczy fortuny. Odarta ze złudzeń, zbyt wiele wycierpiała, by ryzykować ponowne rozczarowanie. Przez kilka ostatnich lat żyła jak mniszka. Nie obdarzyła cieplejszym spojrzeniem żadnego mężczyzny. Swoją drogą, wytężona praca nie pozostawiała czasu na romanse, nie mogła więc wykluczyć, że czas jednak wyleczył rany. Nie miała okazji tego sprawdzić, póki Lee Richardson ponownie szturmem nie wkroczył w jej życie. Co ją w nim pociągało? Niecodzienne okoliczności

poznania czy uwodzicielskie spojrzenie? Powiedziała sobie twardo, że zachowanie odpowiedniego dystansu przyjdzie jej bez trudu. Z tym postanowieniem wstała z łóżka i weszła pod prysznic. Następnie włożyła dżinsy, granatową bluzkę i jasnoniebieską pikowaną kamizelkę dla ochrony przed porannym chłodem.

Ponieważ nie zastała nikogo w kuchni, po zaparzeniu herbaty wyszła z nią na dwór, by obejrzeć ogród w świetle dnia. Na widok aksamitnych, zielonych trawników, czarownego ogrodu różanego i krytego basenu w kształcie grotu, połączonego z przebieralnią z gontowym dachem, wspartym na żłobkowanych kolumnach, zaparło jej dech w piersiach. Dalej grunt opadał, odsłaniając daleki widok na Lazurową toń Oceanu Spokojnego, wieżyczki „Surfingowego Raju” i Złote Wybrzeże. Syciła oczy w bezgranicznym zachwycie, gdy męski głos za plecami wyrwał ją z rozmarzenia:

- Dzień dobry.

Odwróciwszy głowę, ujrzała mężczyznę w kombinезonie, butach z cholewami i starej czapce. W ręce trzymał kosz z narzędziami. Przedstawił się jako główny ogrodnik, Cliff Reinhardt. Rhiannon również wymieniła swoje nazwisko, następnie pochwaliła róże. Natychmiast zaoferował jej bukiet do domu, a także warzywa z ogrodu. Następnie zabrał ją na przechadzkę. Pół godziny później napełnił dla niej kosz ogórkami, kilkoma gatun-

kami sałaty, pomidorami, bakłażanami i mnóstwem innych warzyw. Ściał też wystarczającą ilość kwiatów do dekoracji kilku pokoi. Z dumą oprowadzał ją po swoim pięciohektarowym królestwie.

Cała posiadłość obejmowała ponad dwadzieścia hektarów trawników, tajemnych ścieżek wśród olbrzymich gumowych drzew i cienistych zakątków. W cieniu purpurowej magnolii, wśród rabat stokrotek, lawendy i gardenii stała prześliczna altana. Zachowano też enklawy naturalnej roślinności jako siedliska dla ptaków. Otoczone żywopłotem warzywniki i ogródki ziołowe stanowiły prawdziwe dzieło sztuki. Cliff sprzedawał większość płodów, ponieważ rzadko kto przebywał w majątku. Owdowiał, gdy jego córka, Christy, była niemowlęciem. Obecnie skończyła jedenaście lat. Nie ulegało wątpliwości, że był bardzo przywiązany do rodziny Richardsonów.

Wracali z pełnymi owoców i warzyw koszami przez podwórze obok dwuskrzydłowych stajni z piaskowca, z gontowym dachem.

Nagle Rhiannon usłyszała tętent kopyt. Po chwili pojawił się Lee na potężnym gniadym rumaku w towarzystwie dziewczynki na kucyku. Zmęczeni, ale szczęśliwi jeźdźcy zsiadli ze spienionych koni. Gdy stajenny odprowadzał gniadosza, Rhiannon pogłaskała kucyka, który próbował ugryźć ją w nadgarstek. Na szczęście w porę cofnęła rękę. Christy udzieliła ulubienicy

napomnienia tak łagodnym tonem, że zabrzmiało jak pochwała. Najwyraźniej pozbawione matki dziecko przelało całą miłość na ulubione zwierzę. Rhiannon doskonale ją rozumiała. Ona również straciła matkę, tylko znacznie później. Lee zdjął kapelusz, przygłodził zmierzwioną czuprynę. Cień zarostu na policzkach dodawał mu uroku. Wbrew wszelkim postanowieniom serce Rhiannon przyspieszało na widok tego uosobienia siły i męskości. Mimo pozornie ociężałego spojrzenia bystre oczy dostrzegały najdrobniejsze szczegóły. Bez wątpienia zdawał sobie sprawę, jakie wrażenie wywiera na kobietach. Rhiannon zacisnęła zęby, usiłując opanować niestosowne emocje. Podziękowała za warzywa i kwiaty. Cliff zaoferował, że pomoże je odnieść.

- Nie, dziękujemy - uciał Lee zdecydowanym tonem.

Wziął kosz i ruszył w kierunku domu.

Okna obszernej kuchni wychodziły na ogród. Rhiannon uznała ją za bardzo przyjemne miejsce do pracy zarówno ze względu na piękny wystrój, jak i wspaniałe widoki. Ustawiła kosz na stole. Lee nastawił czajnik.

- O której przychodzi służba? - spytała Rhiannon, marszcząc brwi.

- Około ósmej, nie wcześniej niż za godzinę. Szefowa kuchni, Sharon, odprowadza rano córkę do szkoły, dlatego przychodzi trochę później, a resz-

ta kiedy chce. Nie pochwała pani takiej swobody, prawda? - dodał.

- Sądzę, że można by usprawnić organizację pracy - odparła ostrożnie, żeby go nie urazić. - Ale zacznijmy od początku. Te róże trzeba wstawić do wazonu.

Ponieważ Lee również nie wiedział, gdzie go znaleźć, przejrzeni zawartość kredensów w kuchni, a następnie w salonie. Wróciła z dwoma flakonami z kryształu, jednym ze srebra i jednym z porcelany, pomalowanym w rajskie ptaki.

- Ten dom to istne muzeum. Same zabytki! - wykrzyknęła z zachwytem. Przycięła łydźki i zaczęła w skupieniu układać kompozycje z żółtych, kremowych, różowych i purpurowych róż.

- Mama i babcia kolekcjonowały antyki. Lubi pani starocie?

- Uwielbiam.

Lee w milczeniu obserwował jej poczynania. Podziwiał zarówno jej umiejętności, jak i wdzięk. Od czasu do czasu odgarniała za ucho pasemko włosów, które natychmiast opadało z powrotem. Nie przypominała w niczym rozszczębiotanej panny z taksówki. Wyczuwał w niej pewne oniesmielenie, które tylko dodawało jej uroku. Nie jesteś taką żelazną damą, jaką usiłujesz grać, moja panno - myślał z coraz większą dozą sympatii.

- Nie boi się pani koni? - zagadnął, żeby odwrócić swoją uwagę od niestosownych myśli.

- Jako dziecko miałam kilka złośliwych, źle wychowanych kucyków - wyjaśniła. - Jada pan śniadania? Umieram z głodu. Proponuję omlet na ostro ze świeżymi ziołami od Cliffa.

- Brzmi kusząco.

- Zaparzę też prawdziwej, mielonej kawy - dodała, spoglądając z dezaprobatą na kubek po rozpuszczalnej.

- Czy zostaniesz moją żoną, panno Fairfax?

- Z całym szacunkiem muszę odmówić - odparła ze śmiechem.

Pół godziny później jedli wyśmienity omlet, pili aromatyczną kawę.

- Nie rozumiem pewnej rzeczy - zagadnęła nieśmiało Rhiannon.

- Dlaczego nikt tu nie mieszka? Faktycznie, rzadko tu bywam. Od czasu wyprowadzki ojca do Francji dom stał pusty. Zostawiliśmy tylko kilku pracowników dla utrzymania porządku. Ale teraz chciałbym, żeby zamieszkał tu Matt z Mary. Miejmy nadzieję, że nauczy się zarządzać gospodarstwem.

- Spróbuję jej pomóc. Ale na razie czeka mnie wiele pracy. - Wstała.

- Chwileczkę. Chciałbym usłyszeć parę słów o pani pochodzeniu, wykształceniu, przebiegu kariery.

- Rozumiem. Zawsze lepiej wiedzieć, czy nie

skubną srebrnych łyżeczek - skomentowała ze zmarszczonymi brwiami. - Niepotrzebnie. Sądzę, że pana zastępca zebrał obszerne informacje, zanim do mnie zadzwonił.

- No nie, przesadziła pani. Nie posądzałem pani o złodziejstwo, tylko intryguje mnie pani tajemniczość.

- Mój życiorys nie ma większego znaczenia. Nie pracuję tu na stałe. Dlatego staram się zachować... powiedzmy, zawodowy dystans - dokończyła, obrzucając go znaczącym spojrzeniem.

- Jest pani córką Luke'a Fairfaksa, prawda?

ROZDZIAŁ DRUGI

Rhiannon zastygła w bezruchu.

- Skąd... pan... - Więcej nie zdołała wykrztusić.

- Do wczoraj nie wiedziałem, ale to nazwisko nie dawało mi spokoju. Zajrzałem więc do Internetu. Między innymi znalazłem informację o Luke'u i Reese. Imiona tych dwojga muzyków, którzy zostali przedsiębiorcami w branży muzycznej, często padały w tym domu przed kilku laty. Ich koncerty rockowe i country na wolnym powietrzu obrosły legendą. Przyniosły im sławę i fortunę. Mieli jedyną córkę, Rhiannon. Powinna mieć teraz dwadzieścia sześć lat. Nawet mi do głowy nie przyszło, że niedoszła dziedziczka wielkiej fortuny w taki sposób zarabia na życie. - Przez chwilę obserwował jej zboląłą twarz. - Przykro mi o tym mówić, ale z tego, co wiem, matka zmarła w tym czasie, gdy przedsiębiorstwo zbankrutowało - dodał na koniec.

- To prawda, ale to nie pańska sprawa.

- Poniekąd. Richardsonowie stracili ogromne sumy wskutek bankructwa firmy państwa Fairfaxów. Byli nam winni mnóstwo pieniędzy.

- No to wszystko jasne. Skoro pan mi nie ufa, zaraz pakuję manatki.

- Nic takiego nie mówiłem.

- Nie powstrzyma mnie pan.

- Nie zamierzam zatrzymywać pani siłą. Mam nadzieję, że po wysłuchaniu moich wyjaśnień zostanie pani z własnej woli. Proszę usiąść.

- Dziękuję, postoję - wykrztusiła przez ściśnięte gardło, jednak mimo protestu spełniła prośbę.

Zawsze ulegała jego autorytetowi. Choćby zastosowała wszelkie znane sposoby obrony, posiadał nad nią nieograniczoną władzę. Nawet w dżinsach i sportowej bluzie robił oszałamiające wrażenie.

- Nie wątpię w pani uczciwość. Pan Fairfax nie oszukał naszej rodziny. Korzystał z naszych ciężarówek do przewozu instrumentów i sprzętu na koncerty. Z początku zakupiliśmy samochody do transportu bydła, później rozwinęliśmy działalność i założyliśmy firmę transportową. Pani ojciec po prostu nie był w stanie nam zapłacić. Stracił wszystko zupełnie nieoczekiwanie, wskutek chybionych inwestycji, właściwie nie ze swojej winy. W show-biznesie trudno przewidzieć koniunkturę. Ale kilka spraw pozostało niewyjaśnionych. - Wsadził ręce do kieszeni spodni i obrzucił ją pytającym spojrzeniem. - Czy zechciałaby mi pani bliżej naświetlić przyczyny finansowej katastrofy rodziców?

Rhiannon spróbowała wstać, ale Lee ją uprzedził. Usadził ją z powrotem na krześle. Zanim sam zajął miejsce, nalał dla obydwojga po drugiej filiżance kawy. Rhiannon na chwilę zacisnęła powieki, żeby opanować emocje.

- Cóż, jako wierzyciel powinien pan je poznać - przyznała z rezygnacją. - Otóż u mamy wykryto nieuleczalną chorobę, co kompletnie załamało ojca. W rozpaczy stracił zdolność trzeźwej oceny sytuacji. Zaczął popełniać błędy. Angażował zespoły, które nie przyciągały tłumów. Sprzedaż biletów spadła, sale koncertowe świeciły pustkami, a długi rosły. Próbował odrobić straty, grając na giełdzie. Poszło mu jeszcze gorzej. Kiedy mama umarła, popadł w depresję. Nie pozostało mu nic innego, jak ogłosić bankructwo - zakończyła, ocierając łzy wierzchem dłoni.

Lee Richardson westchnął.

- Jak się teraz czuje?

- Znacznie lepiej, chociaż przeżywa chwile załamania. Dobrze przynajmniej, że znowu zaczął grać na gitarze. Jego siostra, Diana, gra na pianinie. Mieszka z nami. Obydwoje prowadzą szkolne i regionalne zespoły, działają w towarzystwach muzycznych. Niestety... - przerwała.

- Co?

- Staw biodrowy taty wymaga szybkiej wymiany, a nie ma prywatnego ubezpieczenia. W państwowych szpitalach trzeba miesiącami cze-

kać w kolejce. Dlatego oszczędzam każdego centa na operację w prywatnej klinice.

- Przykro mi. Spadł na panią wielki ciężar. Jest pani jedyną żywicielką rodziny?

Rhiannon spuściła głowę, lecz szybko wzięła się w garść.

- Niezupełnie. Tata otrzymuje emeryturę, ciocia Di udziela lekcji gry na pianinie, ale to nie wystarcza. Na szczęście odkąd pracuję, mogę ich wspomóc. Cztery lata temu wracałam z panem taksówką z rozmowy kwalifikacyjnej, w doskonałym nastroju, ponieważ dostałam pierwsze zlecenie. Bardzo spieszyłam się do domu, bo zostawiłam tatę samego na kilka godzin, a wymagał jeszcze stałej opieki. - Rhiannon zacisnęła palce na kubku z kawą. Nagle poderwała się na równe nogi. - Ale nie przyjechałam tu na pogawędki, tylko do pracy. A zajęć mi nie brakuje. Najlepiej zacznę natychmiast... o ile po tym wszystkim nadal zechce mnie pan zatrudnić. Jeżeli nie, zrozumiem - dodała po chwili wahania.

- Czy ja wyglądam na potwora? - spytał, wyciągając nogi przed siebie.

- Nie, ale myślałam...

- Zapomnijmy o tym.

- Dziękuję. Na początek chciałabym wiedzieć, jak dotrzeć do najbliższych sklepów. Płaci pan gotówką czy kartą kredytową? Czy mam załatwić wina, koniaki i inne alkohole?

- Nie, tylko napoje bezalkoholowe. Mam dobrze zaopatrzoną piwnicę. - Lee wstał, wręczył jej kluczyki od samochodu. - Proszę używać niebieskiego mercedesa. Stoi w garażu. Wszystkie produkty kupi pani w najbliższej wiosce, Mount Tambourine, na mój rachunek. Dam pani list polecający.

Pół godziny później Rhiannon zaparkowała w Mount Tambourine. Wsiadłszy z auta, wciągnęła w nozdrza rześkie górskie powietrze. Przystanąła, żeby nasycić oczy widokiem prześlicznej miejscowości, położonej wśród drzew i ogrodów. Prócz sklepów spożywczych znalazła tam galerię sztuki, stoisko z rękodziełem i kilka ciekawie urządzonych restauracji. Parę autobusów świadczyło o popularności wioski wśród turystów.

Po powrocie do Southall zaskoczył ją widok żółtego lamborghini na podjeździe. Nie poświęciła autu zbyt wiele uwagi, ponieważ Sharon, szefowa kuchni o miłym usposobieniu, już czekała na instrukcje.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęła z ulgą na widok Rhiannon. - Po wczorajszym zamieszaniu, żeby nie wspomnieć o koszmarze dzisiejszego poranka, wątpiałam, czy to całe przyjęcie dojdzie do skutku. Och, miałam o tym nie wspominać! - wykrzyknęła nagle z rumieńcem na policzkach.

- Nieważne, grunt, że przybyła odsiecz - uspo-

kajała Rhiannon. Nagle przypomniała sobie o najważniejszej kwestii. - Zna pani gości?

- Nie z nazwiska, ale większość to koledzy Mary z telewizji i filmu. Niektórzy składają jej krótkie wizyty. Na ogół nie zostają na noc.

- Chyba zadanie trochę ją przerosło, skoro uciekła.

- To prawda. Nie lubi tego miejsca. W dodatku Matt wyjechał w interesach, tak że została sama w wielkim pustym domu. To śliczna, miła osobka, ale moim zdaniem dość rozpieszczona. Poinformowała mnie, że zatrudni didżeja, nawet nie wiem, czy za wiedzą Lee. Miejmy nadzieję, że tym razem nie pomyli dat. Zaproszono około trzydziestu osób. Ale ona nie wyklucza, że przyjedzie czterdzieści lub pięćdziesiąt. Straciła rachubę, kogo zaprosiła. Ma całe tabuny znajomych.

- Chyba trzeba zawiadomić gospodarza - westchnęła ciężko Rhiannon.

Jakby mało było niespodzianek, Rhiannon zupełnie nieoczekiwanie niemalże wpadła w holu na wysoką kobietę o długich, ciemnych włosach, chyba najpiękniejszą, jaką w życiu spotkała. Z początku myślała, że to Mary, ale szybko pojęła swój błąd. Ta wyglądała na ponad trzydzieści lat, w dodatku jakoś dziwnie znajomo. Gniewne błyski w oczach, zaciśnięte usta i szybki, nerwowy krok świadczyły o wzburzeniu.

- O, nowa gosposia! - wykrzyknęła na widok Rhiannon. - Jestem Andrea Richardson.

Rhiannon zamruła. Przypomniała sobie, skąd zna tę twarz o oliwkowej cerze i błyszczących, szkarłatnych wargach. Andrea miała na sobie jedwabną bluzkę w kolorze jabłka granatu, spodnie biodrówki z czarnej satyny i srebrne sandały. Nie trudno było wyobrazić sobie tę postać o wyniosłej, niemalże królewskiej postawie na wybiegu dla modelek.

- Pani...

- Tak, straszliwa macocha we własnej osobie - rzuciła Andrea.

- Nie to miałam na myśli. Oczywiście wiem, jak wszyscy, że wyszła pani za Rossa Richardsona, ale nic więcej - tłumaczyła się Rhiannon niezręcznie.

- W takim razie albo przebywa tu pani od niedawna, albo domownicy wykazali niezwykłą dyskrecję. Uważają mnie za potwora, zwłaszcza Lee. Jego zdaniem omotałam jego tatusia dla pieniędzy i zbrukałam najświętsze wspomnienia o matce - wyjaśniła Andrea, odrzucając lśniąca kaskadę włosów na plecy.

Rhiannon zaniemówiła z wrażenia.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Zresztą to nie moja sprawa, ja tu tylko pracuję - odparła, gdy wreszcie odzyskała mowę.

- No i bardzo dobrze. Niedługo to ja będę

wydawać pani polecenia. A teraz proszę wybaczyć. - Z tymi słowy odeszła kocim krokiem, prowokująco kołysząc biodrami.

Rhiannon zastała Lee w bibliotece. Ruszyła w stronę biurka po tureckim, czerwonym dywanie. Przez okna wychodzące na werandę dochodził z ogrodu zapach jaśminu. W rogu pokoju przy stoliku do pisania stała wygodna kanapka i fotel obite pluszem w kolorze mięty. Lee pracował przy komputerze, ustawionym na okazałym biurku. Gdy Rhiannon przystanęła obok niego, wciągnęła w nozdrza inny aromat, silniejszy od zapachu kwiatów. Znała go dobrze. Używała tych samych perfum, co Andrea Richardson. Czyżby dopiero stąd wyszła? Czy do jej przybycia odnosiła się aluzja Sharon na temat porannego zamieszania? Nie oczekiwała odpowiedzi na żadne z tych pytań. Nie wypadało zadać ich głośno. Gdy Lee uniósł głowę, przybrała możliwie przyjemny wyraz twarzy. Natomiast jego sroga mina, zmarszczone brwi i zacięte usta świadczyły o wyjątkowo podłym nastroju.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie Richardson.

- Mów do mnie Lee, Rhiannon. Usiądź. Odnoszę wrażenie, że przynosisz złe wieści. Tylko nie mów, że przeceniłaś swoje możliwości.

Ogarnęły ją mieszane uczucia. Z jednej strony mu współczuła, z drugiej - drażniła ją jego

arogancja. Powiedziała sobie twardo, że odczucia nie mają w obecnej sytuacji większego znaczenia. Zajęła wskazane miejsce.

- Nie, tylko dano mi do zrozumienia, że znalazłam się w oku cyklonu. Twoja macocha oznajmiła, że niedługo to ona będzie mi wydawać polecenia.

Lee zacisnął zęby. Rysy stwardniały mu jeszcze bardziej.

- Nieprawda - rzucił to słowo jak bryłę lodu.

- Ja tu rządzę. Ona tu nie mieszka - wycedził z naciskiem na ostatnie zdanie. Potem zaklął po cichu pod nosem.

- No dobrze, przejdźmy więc do rzeczy.

- Westchnęła. - Kłopot w tym, że nie znamy liczby gości. - Następnie przekazała uzyskane od Sharon informacje.

- Cholera jasna! - ryknął tym razem na całe gardło na wzmiankę o didżeju.

- To nawet niegłupi pomysł, dość typowy dla młodej dziewczyny. Zawsze to jakaś rozrywka dla gości. Weź pod uwagę, że twoja bratowa ma zaledwie dwadzieścia dwa lata - usiłowała go uspokoić Rhiannon. - Poza tym nie jest jej łatwo, zwłaszcza że nie lubi tego domu. Ale to już nie moja sprawa - dodała pospiesznie.

- Jednym słowem nurtuje cię, po co nam ten cały cyrk z przyjęciem - podsumował po chwili.

- Tak - przyznała.

- Otóż lepiej dla mnie, żeby ktoś z rodziny

zamieszkała tu na stałe. Moim zdaniem dla nich też. Za to Mary wolałaby osiąść w Brisbane albo gdzieś na wybrzeżu, kontynuować karierę i dalej prowadzić światowe życie, co nie sprzyja scementowaniu świeżego związku.

- W dzisiejszych czasach większość kobiet łączy życie rodzinne z zawodowym - wtrąciła Rhiannon.

- Zanim przypniesz mi etykietkę męskiego szowinisty, wysłuchaj mnie do końca. Wychodząc za Matta, Mary w ogóle nie brała pod uwagę jego punktu widzenia ani zobowiązań. Powinna więc pomyśleć o nich teraz. Chyba zasłużył na odrobinę zrozumienia z jej strony po tym, jak zabrał ją na nieprawdopodobnie drogi, półroczny rejs dookoła świata. Po pierwsze, on uważa ten dom za swoje miejsce na świecie, a po drugie, to najkorzystniejsze rozwiązanie z punktu widzenia interesów rodziny, zwłaszcza że Mary oczekuje dziecka.

- Teoretycznie masz rację, ale nawet najlepsze teorie nie zawsze przystają do rzeczywistości. Zresztą to nie mój problem - powtórzyła z niewesołym uśmiechem.

- Chciałbym jednak poznać twoje zdanie. Czy traktowałabyś konieczność zamieszkania w Southhall jako ciężki obowiązek?

- Ja? - Popatrzyła na niego, jakby spadł z księżyca. - Skądże. Zresztą co to ma do rzeczy? Przecież wyjadę zaraz po wykonaniu zlecenia.

- Ale twoja opinia jest dla mnie bezcenna.

Rhiannon podziękowała za komplement niepewnym uśmiechem. Nawet nie próbowała dociekać sensu ostatniego zdania. Skupiła całą uwagę na czekających ją zadaniach.

- Przejdźmy do spraw organizacyjnych - zaproponowała. - Wybrałam potrawy, które można przygotować dzisiaj, a jutro tylko odgrzać. Sądzę, że najlepiej urządzić przyjęcie na werandzie. Jest tam więcej miejsca do tańca niż w jadalni. Sharon twierdzi, że jutro przybędą nam dwie pary rąk do pracy. Brakuje tylko kelnerów do obsłużenia gości.

- Poprosimy Cliffa o pomoc. Za życia mamy często podawał do stołu. Jeśli trzeba, ściągnie też kolegę, z którym nieraz już współpracował. W pozostałych sprawach daję ci wolną rękę, pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że będziesz uczestniczyć w przyjęciu jako gość.

- Ależ to szaleństwo! Muszę przecież dopilnować przygotowań w kuchni! - wykrzyknęła, kompletnie zaskoczona.

- Nieprawda. Zatrudnimy sporo osób, a większość potraw, jak sama zaznaczyłaś, wymaga tylko odgrzania.

- Ale ja nie chcę iść na tę imprezę.

- W takim razie ją odwołamy.

- Co takiego? - wykrztusiła prawie bez tchu. Zbił ją z tropu do reszty. Ponieważ nie potrafiła przewidzieć, co ją czeka, jeśli spróbuje postawić na swoim, spróbowała łagodnej perswazji: - Zrozum, nawet nie mam co na siebie włożyć.

- Jak każda kobieta - skomentował obojętnym tonem. - Mary na pewno coś dla ciebie znajdzie.

- Tylko po co? - spytała Rhiannon, przeklinając samą siebie, że użyła tak naiwnego argumentu.

- Myślę, że więcej zdasz na pierwszej linii frontu niż na tyłach. Wierzę, że zadbasz o dobrą atmosferę. Zresztą masz ten obowiązek zapisany w umowie - zakończył.

Ponieważ zaniemówiła na dobre, dał jej trochę czasu na przetrwanie usłyszanych rewelacji, a sobie na analizę własnego postępowania. Od początku czuł, że wybrał właściwą osobę. Wyglądała dziewczęco, lecz nie bezradnie. Mimo zakłopotania promieniowała młodzieńczą energią. Prawdę mówiąc, wcale nie potrzebował jej obecności na sali. Po co więc zmuszał ją do czegoś, na co nie miała najmniejszej ochoty?

- Czy czujesz się oszukana, że bez uprzedzenia wrzuciłem na twoje barki dodatkowy ciężar? Niełatwo ci będzie zachować zawodowy dystans w atmosferze zabawy.

Rhiannon spłonęła rumieńcem, zacisnęła pięści, założyła włosy za ucho, ale nie wypowiedziała ani słowa.

- Widzisz, od pierwszej chwili czułem, że między nami iskrzy. Poruszyłaś we mnie jakąś czułą strunę - dodał miękko z figlarnym błyskiem w oku.

Przez ciało Rhiannon przebiegały na przemian fale zimna i gorąca. Przełknęła ślinę. Za skarby świata nie przyznałaby mu racji. Dokładała wszelkich starań, by nie dostrzegł jej zmieszania, lecz policzki nadal płonęły żywym ogniem. Nawet gdyby zaprzeczyła, że robi na niej wrażenie, i tak by nie uwierzył. Wyrzucała sobie, że nie potrafi ukryć swych uczuć, przeklinając w duchu własną słabość.

- Panno Fairfax? - głos Lee wyrwał ją z zamyślenia.

Posłała mu gniewne spojrzenie spod uniesionych brwi. Nie zamierzała wdawać się w słowne utarczki. Doszła do wniosku, że nie pozostaje jej nic innego, jak ignorować zaczepki. Wzruszyła ramionami, udając doskonałą obojętność.

- Zgoda. Ty jesteś szefem, ty wydajesz polecenia. Ja je tylko wypełniam. A teraz najwyższa pora wrócić do pracy. - Z tymi słowami ruszyła ku drzwiom.

- Nie uważasz, Rhiannon, że to niezbyt uczciwe z twojej strony?

Przystanęła w miejscu. Dopiero po chwili odwróciła się.

- Proszę mi wierzyć, panie Richardson, ale nie interesuje mnie, co mężczyźni o mnie myślą. Jeśli

zmienił pan zdanie, zaakceptuję każdą decyzję - rzuciła mu w twarz. Słowom towarzyszyło wyzywające spojrzenie.

- Nie zmieniłem zdania. - Przesunął spojrzenie w dół, wzdłuż całej sylwetki. - Na ogół nie przeszkadzają mi dzinsy u kobiet, ale moim zdaniem to zbrodnia ukrywać takie nogi.

Rhiannon wzięła głęboki oddech.

- Niepotrzebnie traci pan czas, szefie - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

- Pozwól, że sam to ocenię. No i nie patrz tak na mnie. Gdyby wzrok mógł zabijać, leżałbym już dwa metry pod ziemią.

- Wielka szkoda, że nie może! - odkrzyknęła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sharon, miłośniczka opery, członkini regionalnego klubu muzycznego, zanuciła jasnym, czystym sopranem fragment musicalu „Olivier” na widok efektów wspólnej pracy. Rhiannon odnalazła w sympatycznej kucharce bratnią duszę. Obydwie lubiły nawet te same potrawy. Sharon stwierdziła, że Rhiannon wniosła w mury rezydencji ożywczy powiew, bowiem od śmierci Margaret Richardaon życie w Southall zupełnie zamarło.

- Umiała dobrać dania, sama układała kwiaty, dekorowała stoły. Służba zawsze wykonywała jej polecenia. Moich ani Mary niestety nie - zakończyła z goryczą.

Rhiannon zapewniła ją, że wysoko sobie ceni jej pracę. Już otwierała usta, żeby zapytać, gdzie zniknęła Andrea Richardson, lecz w ostatniej chwili zrezygnowała.

Sharon wygrzebała gdzieś sześć staroświeckich, stylowych, srebrnych podgrzewaczy do potraw z miedzianym dnem, ogrzewanych palnikami spirytusowymi. Rhiannon wiedziała z doświadczenia, że mieszkańcy stanu Queensland przepadają

za owocami morza. Przygotowała zapiekankę z krabów, półmisek z krewetkami i ostrygami, do tego szparagi w śmietanie, aromatyczny sos z brandy oraz kilka innych. Na miseczkach poukładała ćwiartki cytryny. Dwie potężne szynki naszpikowała goździkami. Sharon przyrządziła trzy różne potrawy z ryżu. Pozostało je tylko podgrzać w kuchence mikrofalowej. Upiekła też kurczaki, wołowinę w sosie z czerwonej fasoli z azjatyckimi warzywami. Rhiannon zrobiła zapiekankę z ziemniaków. Na dzień przyjęcia zaplanowała już tylko ugotowanie kalafiorów i zrobienie sałatek. Upiekły też cztery biszkopty do podania na deser z truskawkami, lodami i śmietaną. Po krótkiej naradzie zrezygnowały ze słonych orzeszków i innych przekąsek, które zapychają żołądek i pobudzają pragnienie, zwłaszcza na alkohol. Na koniec Rhiannon poinformowała Sharon, że następnego dnia nie pomoże jej w kuchni, bo musi przebywać z gośćmi na sali. Obiecała jednak, że będzie do niej zaglądać tak często, jak to możliwe.

- Dzisiaj już ci dziękuję, Sharon. Jutro nie musisz przychodzić wcześniej, i tak czeka nas ciężki dzień. Odprowadź spokojnie córkę do szkoły. A propos, kto się nią zajmuje, gdy cię nie ma?

- Moja mama. Ugotujesz dziś obiad dla Lee? Uwielbia steki.

- Akurat na dzisiaj ma inną koncepcję - zaprotestował gospodarz, który właśnie wszedł do

kuchni. - Przyjmij ode mnie skromny dowód wdzięczności wraz z drobnym upominkiem dla mamy. Zasłużyłaś na podziękowanie. - Z tymi słowy wręczył zakłopotanej pracownicy kopertę i popchnął lekko ku drzwiom.

- Bardzo ładnie z twojej strony - pochwaliła Rhiannon, gdy kucharka zamknęła za sobą drzwi. - Nawiasem mówiąc, wykonała kawał dobrej roboty. Jeśli dobrze zrozumiałam, wychodzisz gdzieś na obiad?

- Wychodzimy.

- To znaczy kto?

- Ty i ja. Prócz nas dwojga nikogo tu nie ma.

- Nawet nie zapytałeś mnie o zdanie!

- No to teraz pytam, ale nie przyjmę do wiadomości odmowy. Dam głowę, że po tylu godzinach w kuchni nie marzysz o kolejnych. Poza tym chciałbym się przekonać, że wolisz mnie jednak oglądać przy stole niż dwa metry pod ziemią.

- Przepraszam, wyrwało mi się.

- Przyjmę przeprosiny dopiero w restauracji. Wybrałem kameralny, przytulny lokalik. - Podszedł do lodówki, wyciągnął butelkę wina i nalał jej lampkę. - Weź ciepłą kąpiel, umyj głowę, żebyś była gotowa o wpół do siódmej. Jeśli nie zdążysz, przyjdę ci pomóc.

- Tylko tego brakowało!

- Sądzę, że nie sprawiłbym ci wielkiej przykrości - odrzekł, nie kryjąc rozbawienia.

Wbrew woli Rhiannon wizja wspólnej kąpieli rozpałała jej wyobraźnię. Odpędziła ją przemocą. Odwróciła się na pięcie i pospiesznie opuściła kuchnię.

Rhiannon włożyła lniane spodnie i jedwabną bluzeczkę z zielonej dzianiny. Ściągnęła ją w talii szerokim, brązowym pasem. Gdy rozpyłała perfumy, ich zapach przypomniawszy jej o Andrei Richardson, nie potrafiła odgadnąć, jaką rolę odgrywa obecnie w klanie Richardsonów. Podejrzała, że nie pierwszoplanową, ale i nie poślednią.

W restauracji usiedli przy nakrytym białym obrusem stoliku na werandzie, oświetlonym lampką oliwną. Rhiannon zdołała jakoś opanować sprzeczne emocje, jakie budził w niej atrakcyjny, lecz arogancki pracodawca. Pomógł jej w tym, prowadząc swobodną pogawędkę bez niestosownych podtekstów. Zgodnie z przewidywaniami Sharon zamówił sobie potężny stek, podczas gdy ona wybrała filety z białego mięsa.

- Naprawdę byłem głodny - zagadnęła z nieśmiałym uśmiechem. - W moim zawodzie trzeba silnej woli, żeby nie uszczknąć czegoś z pańskiego stołu.

- Wierzę, że ją posiadasz, nie tylko w kuchni.

- Znowu zaczynasz? Popatrzyła na niego podejrzliwie znad kieliszka z winem.

- Kto się czubi, ten się lubi.
 - Niekoniecznie. Wolałabym zmienić temat. Lepiej opowiedz coś więcej o swoim życiu.
 - Wiele się w nim zmieniło od chwili przejścia interesów po ojcu. Wcześniej współdziałałem w zarządzaniu przedsiębiorstwem, lecz spędzałem w buszu więcej czasu niż za biurkiem.
 - Na farmach? Kiedyś podczas wakacji odwiedziłam hodowlę bydła w Kimberley, należąca do rodziny Constantinów.
 - Znam Tatianę i Alexa. On zajmuje się przede wszystkim sprzedażą pereł.
 - Tak. Dostałam na osiemnaste urodziny od rodziców piękny sznur pereł z Morza Południowego, który u niego kupili. Niestety, musiałam je sprzedać - dodała z goryczą.
 - Czy uważasz życie na wsi za nudne?
 - Skądże! Mimo wszelkich niedogodności wspominam tamto lato z sentymentem. Ale czemu pytasz? - dodała na widok jego badawczego spojrzenia.
 - Bez powodu. No, może dlatego, że Mary nie cierpi wsi.
 - Prawdę mówiąc, trochę jej współczuję, chociaż jej w życiu nie widziałam - zachichotała.
 - Spokojna głowa, umie o sobie zadbać. A teraz powiedz, jak wyglądało twoje pierwsze spotkanie z moją macochą?
- Rhiannon milczała przez chwilę. Z początku

kusiło ją, by zbagatelizować niewygodny temat, ale lodowate spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, że Lee nie da zamydlić sobie oczu. Z wielkim trudem przełamała wewnętrzne opory.

- No cóż, dała mi do zrozumienia, że uważasz ją za wiedźmę, która omotała twego ojca dla majątku.

- To wszystko?

- To nie moja sprawa, ale wygląda na to, że rości sobie jakieś prawa do Southall.

Lee nie skomentował ostatniej uwagi. Patrzył niewiążącym wzrokiem w przestrzeń ponad jej ramieniem. Rhiannon sączyła swoje wino, a w głębi duszy toczyła wewnętrzną walkę. Po długim namyśle spytała, co obecnie robi Andrea. Dopiero wtedy intensywne spojrzenie spoczęło na jej twarzy.

- Przede wszystkim wiele zamieszania. Poza tym nic konkretnego. Podróżuje między południem Francji a Australią.

- Na jakiej podstawie uznałeś ją za intrygantkę?

- Po pierwsze, omotała Mary. Zeruje na jej marzeniu o światowym życiu. Namawia ją na przeprowadzkę do Brisbane, chociaż Mart chciałby zamieszkać tutaj. A teraz na domiar złego zamówiła mszę w rocznicę śmierci ojca.

- Żywisz do niej urazę, że za niego wyszła?

- Ależ naturalnie! Była o połowę młodsza od

niego. Wzięła z nim ślub wkrótce po śmierci mamy, bez naszej wiedzy. Poza tym wymusiła na moim ojcu korzystną dla siebie zmianę w testamencie - zakończył z goryczą.

Rhiannon zerknęła na zegarek.

- Minęła dziewiąta, pora wracać. Dziękuję za kolację. Tego właśnie potrzebowałam.

Gdy minęli żelazną bramę rezydencji, Lee nie wjechał do garażu, lecz gwałtownie zahamował na środku podjazdu.

- Widziałaś?

Rhiannon wyteńczyła wzrok, ale niczego nie dostrzegła. Usłyszała za to rzenie, tętent kopyt, wreszcie szczekanie psów.

- Koń?

- Wcielony diabeł, ulubienica Christy. Znowu uciekła. Opanowała tę sztukę do perfekcji. Bawi się z psami w berka.

- Czemu nikt nie próbuje jej złapać?

- Stajenni poszli do domu, a Cliff chodzi z córką co sobotę do klubu szachowego. - Lee wysiadł z samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi. Zagwizdał.

Dwa uszczęśliwione psy podbiegły do pana. Kazał im usiąść i zabronił szczekać. Natychmiast wykonały polecenia.

- Bez obawy, nie gryzą. Za to na Poppy trzeba uważać. Potrafi podejść i ugryźć znieścaka, o ile

nie buszuje w warzywniku. Nie rozumiem, czemu jeszcze toleruję to złośliwe bydlę - mruknął, po czym zaklął pod nosem, ponieważ w ciemności wdepnął w kałużę.

- Chyba dlatego, że lubisz Christy - podsunęła Rhiannon z uśmiechem.

Podeszli do drzwi stajni. W ich dolnej części znaleźli wyrwę. Sprytny kucyk wybił ją kopytami, po czym jakimś cudem przecisnął się na zewnątrz. Rhiannon zachichotała cichutko, za to Lee marmotał pod nosem kolejne przekleństwa. Wreszcie zamknął psy, otworzył drzwi i wprowadził Rhiannon do środka. Ściągnął z haka lejce i uprząż, wziął ze żłobu wiązki suszonej lucerny. Zgodnie z przewidywaniami, znaleźli Poppy w warzywniku. Zdażyła już dokonać niezłego spustoszenia. Właśnie wykopywała marchewkę.

- Biedny Cliff - westchnęła Rhiannon.

- Może wreszcie zrozumie, że nie ma sensu hodować takiego potwora. Zapędźmy ją w róg, płotu nie przeskoczy.

Za pomocą łagodnej perswazji, przekupstwa oraz znacznie bardziej radykalnych metod krnąbrna Poppy została zaciągnięta do stajni. Gdy zdyszani, zmordowani pogromcy nieco ochłonęli, stwierdzili, że wyglądają jak bałwany, tyle że nie białe, a brązowe od błota.

- Przydałby nam się prysznic - zauważył Lee. Odkręcił kurek i skierował na siebie strumień

wody z ogrodniczego węża. Następnie zaproponował kąpiel Rhiannon.

Rozbawił ją do łez, tak że nie zdołała wykrztusić słów protestu, kiedy i ją polewał. Prawdę mówiąc, odebrało jej mowę nie tylko ze śmiechu. Pożerała wzrokiem wspaniałą sylwetkę, szerokie ramiona, wąską talię...

- Wyglądasz jak syrena - zauważył. - Baaardzo kusząco...

Rhiannon spuściła oczy. Bluzka i spodnie przyłgnęły do ciała, sutki sterczały prowokująco, doskonale widoczne pod mokrym ubraniem. Kątem oka dostrzegła błysk pożądania w oczach towarzysza. Dosłownie pieścił ją wzrokiem. Spłonęła rumieńcem. Przez jej ciało przebiegł dreszcz. Odnosiła wrażenie, że płynie pomiędzy nimi strumień potężnej energii, jakby prąd elektryczny. Gdyby wskutek dramatycznych doświadczeń nie straciła zdolności do spontanicznych reakcji, pewnie poddałaby się urokowi chwili. Żałowała, że nie potrafi spełnić swoich erotycznych fantazji, iść na całość z tym fascynującym mężczyzną, w kałużach wody, wśród zapachu siana i parskania koni. Równocześnie zdawała sobie sprawę, że jeśli zrobi choćby krok w jego kierunku, zapomni o wszelkich zahamowaniach. Będzie stracona, bezbronna, zdana na jego łaskę. Nie mogła na to pozwolić. Przemocą przegnała kuszące wizje.

- Nie zapominaj, że pracuję tu jako pomoc domowa. Innych zadań nie mam w umowie. Dobranoc - powiedziała, dokładając wszelkich starań, by reprimenda zabrzmiała lodowato. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku kuchennych drzwi.

Lee nie podążył za nią. Zacisnąwszy zęby, odprowadził ją wzrokiem.

Rhiannon nie widziała Lee przez cały ranek. Na szczęście nawet zajęć nie pozwalał na zbyt długie rozmyślenia. Przeciwnie niż minioną noc. Rhiannon prawie nie zmrużyła oka. A później jeszcze musiała pocieszać zdruzgotanego Cliffa i załamana Christy. Dopiero obietnica, że przekona Lee, by pozwolił jej zatrzymać Poppy, poprawiła dziewczynce humor. Po południu, podczas układania zawiniętych w serwetki kompletów sztućców na tacy Rhiannon nadal szukała w myślach sposobu na krnąbrną klacz. Gdy Lee stanął w drzwiach salonu, jego mina nie wróżyła nic dobrego.

- Nie obwiniaj Christy za wybryki Poppy - prosiła Rhiannon po zdawkowym, chłodnym powitaniu. - I bez twoich wymówek cierpi męki.

- Mam udawać, że nie widzę spustoszenia w ogrodzie?

- Nie, ale nie wyładowuj na niej swoich frustracji, bo to do mnie naprawdę żywisz urazę - orzekła po chwili wahania. - A mała potrzebuje

pomocy. Ma dopiero jedenaście lat, straciła matkę i naprawdę kocha tego kucyka.

- Widzę, że masz kwalifikacje również na nianię. Skoro potrafisz zaradzić wszelkim kłopotom, poradź mi, jak rozwiązać moje. Ostatnio cierpię na bezsenność. Tej nocy prześladowały mnie wizje mokrej, niedostępnej syreny, którą ponad wszystko pragnąłem wziąć w ramiona. A może i ty spędziłaś bezsenłą noc? - dodał na widok spłoszonego spojrzenia Rhiannon. - Jeżeli tak, to wytłumacz mi, po co się oboje tak męczymy?

Otworzyła usta, ale nie była w stanie wydobyć głosu. Lee wyszedł z kwaśnym uśmiechem na ustach. Zaczęła z powrotem składać serwetki do zawinięcia sztućców, kiedy zawrócił. Obydwoje otworzyli, a następnie równocześnie zamknęli usta.

- Myślę... że czeka nas ciężki dzień - zaczęła, żeby wreszcie przerwać kłopotliwe milczenie.

- Lepiej...

- Zawrzyjmy przymierze, przynajmniej na dzisiejszy wieczór - dokończył za nią.

- Właśnie to miałam na myśli. Poza tym, czy koniecznie obstajesz przy moim uczestnictwie w przyjęciu?

- Oczywiście.

- Dlaczego?

- Uważam twoją obecność za niezbędną. Przypominasz mi moją mamę. Dorównujesz jej nie

tylko umiejętnościami kulinarnymi, ale i talentami towarzyskimi.

- Ale to Mary powinna odgrywać rolę pani domu! - przypomniała Rhiannon, cała w nerwach.

- Być może w przyszłości. Na razie do niej nie dorasta. - Wzruszył lekceważąco ramionami. - No to co, załatwione?

- No...

- Dziękuję, Rhiannon! - zawołał z szerokim uśmiechem, jakby naprawdę usłyszał wiążącą obietnicę.

- No dobrze - dokończyła z ociąganiem, po czym wróciła do przerwanej zajęcia.

Dwie godziny później, po zakończeniu przygotowań, Rhiannon wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza. Po drodze zajrzała na werandę, gdzie Cliff ustawił trzy długie stoły, nakryte obrusami z ciemnozielonego lnu, przenośny bar w kącie, mniejsze stoliki z krzesłami oraz cytrynowe drzewka w doniczkach. Szklane świeczniki, bukiet róż i sześćcioramienny srebrny kandelabr zdobiły główny stół. Rhiannon poprzestawiała je dla lepszego efektu, dodała koszyki z zawiniętymi w serwetki sztucami. Zadowolona z rezultatów swej pracy popatrzyła w górę. Bezchmurne niebo zapowiadało piękną pogodę. Postanowiła przed powrotem do pracy nasycić jeszcze oczy widokiem ogrodu różanego. Słońce właśnie zachodziło. Stado białych papug

hałasowało w zaroślach. Ogrodowy zraszacz napełniał powietrze delikatną mgiełką. Zapach wilgotnej trawy przywoływał wspomnienia rodzinnego domu. Zanim nastąpiła katastrofa, jej rodzice posiadali równie piękną, choć nie tak okazałą jak Southall rezydencję w Błękitnych Górach niedaleko Sydney. Na myśl o mamie i tacie oczy zaszyły jej łzami. Ocierając je palcami, ruszyła w drogę powrotną. Nie zaszła daleko. Po kilku krokach wpadła na Lee. Złapał ją za ramiona.

- Co się stało, Rhiannon?

- Nic szczególnego, chyba alergia pyłkowa - skłamała. Dla lepszego efektu wytarła nos chusteczką higieniczną.

Nie wyglądał na przekonanego. Dopiero teraz zwróciła uwagę na przepoconą koszulkę, krótkie spodenki i bose stopy. Na szyi zawiesił sobie ręcznik. Po raz pierwszy widziała go w takim stroju.

- Co robiłeś?

- Boksowałem.

- Naprawdę uprawiasz tak brutalny sport?

- Znowu wydajesz pochopne opinie. - Popatrzył na nią z dezaprobatą spod wysoko uniesionych brwi. - Sporty walki, uprawiane zgodnie z naukowo opracowanymi zasadami, pomagają kilkunastoletnim chłopcom rozładować naturalną agresję. Wiem, co mówię. Sam przeszedłem trudny okres buntu w latach wczesnej młodości. Szybkie samo-

chody, dziewczyny, życie na wysokich obrotach. Przed upadkiem uratował mnie boks, a przede wszystkim mądry trener. Nie postawiłem na karierę sportową, ale dzięki treningom wyszedłem na ludzi. Później zacząłem grać w polo.

- Elitarna zabawa - zauważyła z przekąsem.
- Owszem, ale wymagająca sprawności i refleksu. Obecnie prowadzę klub bokserski, który moja rodzina założyła kilka lat temu. Staram się czynnie uczestniczyć w zajęciach. A teraz chodzimy na basen.

Rhiannon po krótkim wahaniu podażyła za nim. Lee powiesił ręcznik na oparciu leżaka, zdjął podkoszulek.

- Mimo wszystko podejrzewam, że sport nie zmienił zbyt wiele twojego nastawienia do dziewcząt
- zadrwiła w odruchu samoobrony.

- Może nie, ale moje wady wcale im nie przeszkadzały.

Nic dziwnego - pomyślała. Zdawały sobie sprawę, że igrają z ogniem, ale leciały do niego jak ćmy do światła. Musiała przyznać, że urok nadal działał. Sama jego obecność rozgrzewała jej ciało i duszę. Potrząsnęła głową, żeby przepędzić nieostojliwe marzenia.

- Z tego, co wiem, praca na farmie również pomogła ci rozładować nadmiar energii - przypomniała.

- Owszem, jako dziecko doglądałem bydła, ale

później poszedłem do szkoły z internatem, a potem na uniwersytet. - Zdjął spodenki, został w samych kąpielówkach. - Nie popływasz? Po całym dniu przy piecu zasłużyłaś na ochłodę.

Rhiannon nie mogła oderwać oczu od smukłej, silnej sylwetki o proporcjach antycznej rzeźby.

- Nie wzięłam kostiumu - wykrztusiła z zażenowaniem.

- Nie zamierzałaś skorzystać z naszych wspa-
niałych plaż? - spytał z kamienną powagą, lecz
w oczach płonęły figlarne iskierki.

- Planowałam kupić sobie jutro bikini - odpar-
ła możliwie obojętnym tonem. Nie bardzo jej to
wyszło. Głos drżał z emocji, policzki płonęły jak
u nastolatki.

- Prawdę mówiąc, nie widzę zbyt wielkiej róż-
nicy pomiędzy bikini a kompletem ładnej damskiej
bielizny - zauważył, wyraźnie rozbawiony jej za-
kłopotaniem.

- Za to ja widzę. A przy twojej reputacji...

- Nie rozśmieszaj mnie! - roześmiał się bez
żenady. - Jestem starszy od ciebie, nowocześniejszy,
niż myślisz, i nie rzucam się na kobiety wbrew
ich woli. Uważam, że najwyższa pora przyjąć do
wiadomości, że ciągnie nas do siebie - dodał
łagodnym tonem.

Wyciągnął rękę i założył jej opadający kosmyk
włosów za ucho. Przez chwilę patrzył na unoszo-
ne przyspieszonym, nierównym oddechem piersi,

później uniósł wzrok ku twarzy i zajrzał głęboko w oczy.

- Doświadczenie nauczyło mnie, że nagłe fascynacje nie przynoszą nic prócz rozczarowania. Chyba widzisz, że ta cała zabawa mi nie odpowiada, więc z łaski swojej przestań się ze mną droczyć - odburknęła.

- Przede wszystkim widzę, że sama sobie nie ufasz. Nic dziwnego. Nie zwiódł mnie twój wyuczony, zawodowy dystans. Przeczuwasz, podobnie jak ja, że w łóżku dalibyśmy sobie wiele szczęścia. Wystarczy małeńka iskra, by wywołać pożar. - Ogarnął jej sylwetkę uwodzicielskim, na poły pożądlivym, na poły ironicznym spojrzeniem.

Rhiannon dokładała wszelkich starań, żeby odychać spokojnie. Bez skutku. Krew wrzała w jej żyłach, wezbrane aż do bólu piersi falowały.

- Na razie idę popływać. Skoro nie chcesz do mnie dołączyć, polecam ci zimny prysznic - poradził Lee rzeczowym tonem po długim, znaczącym milczeniu.

Zostawił ją osłupiałą, niezdolną do wykonania najłżejszego gestu, a sam płynnym ruchem wskoczył do basenu.

- Czemu mu nie odmówiłam? Czy dlatego, że bez mojego udziału odwołałby przyjęcie, czy próbuję sobie udowodnić, że mi na nim nie zależy?

- pytała Rhiannon samą siebie, przeglądając garderobę.

Lustro w sypialni ukazało jej zmęczoną, udreżoną twarz. Odebrała przegraną potyczkę słowną przy basenie jako osobistą klęskę. Targały nią sprzeczne emocje. Z jednej strony pragnęła zemsty na arogancie, z drugiej - tęskniła do uścisku jego silnych ramion. Za to skompletowanie stroju na wieczór nie nastęczało trudności. Tylko jedna czarna sukienka do kolan zakrywała uda. Włożyła do niej sznurowaną, koralową kamizelkę, komplet złożony ze srebrnego naszyjnika i kolczyków z nefrytami oraz te same czarne pantofle na obcasach, które nosiła do spodni. Ponieważ nie miała wieczorowej torebki, zatknęła koronkową chusteczkę do nosa za pasek. Świeżo umyte włosy lśniły czystym złotem. Nałożyła delikatny makijaż a gdy nie pozostało nic więcej do zrobienia, posprzątała pokój, żeby zająć myśli. Na próżno. Nadal mimo jej desperackich wysiłków biegły swoim torem.

Za piętnaście siódma wkroczyła na wschodnią werandę. Jedzenie stało już na stole, świece płonęły, róże pachniały. Zastała też gospodarza. Na widok imponującej postaci w szarym garniturze, czarnej koszuli i srebrnym krawacie zaparło jej dech z wrażenia, tym bardziej, że natychmiast wbił wzrok w jej nogi.

- Jeszcze nikogo nie ma? - spytała pośpiesznie, by ukryć zmieszanie.

- Właśnie dotarli. Jak na osobę, która nie ma co na siebie włożyć, wyglądasz wyjątkowo pięknie - dodał z tym swoim uwodzicielskim uśmiechem, od którego topniało serce.

Ledwie wymamrotała podziękowanie, na werandę wkroczyły dwie osoby. Niższy i tęższy od brata Matt Richardson w niczym go nie przypominał. Miał brązowe włosy, także oczy i szczery, szeroki uśmiech. Na powitanie z całego serca podziękował Rhiannon za wybawienie z opresji. Mary Richardson była prawdziwą pięknoscią o złocistorudych włosach i niemalże turkusowych oczach. Nienaganna figura nie zdradzała odmiennego stanu. Głęboko wycięta, dopasowana suknia z cekinami na staniku i falbanką na dole harmonizowała z kolorem tęczy. Włożyła do niej srebrne sandały na wysokich obcasach. W zagłębieniu pomiędzy piersiami przyciągał wzrok elegancki wisiorek z diamentem na platynowym łańcuszku.

- Wykonałaś kawał dobrej roboty! - pochwaliła z niekłamany entuzjazmem. - Może zechciałabyś przyjąć u nas stałą posadę. Byłabyś pierwszorzędną gosposią.

Mart zamrugał. Lee Richardson rzucił bratowej ostrzegawcze spojrzenie.

- Świetna propozycja, radzę ci ją rozważyć,

Rhiannon - dorzuciła Andrea Richardson, która nagle wyrosła jak spod ziemi.

Wyglądała jeszcze piękniej od Mary w wysoko upiętym koku, czarnej, przylegającej do figury sukni z głębokim dekoltem i wspianym naszyjniku z rubinów. Pomadka w tym samym odcieniu kontrastowała z cerą w odcieniu kości słoniowej.

- Dziękuję, ale mam inne plany - mruknęła Rhiannon z drwiącym półuśmiechem.

- Może i lepiej. - Andrea wzruszyła ramionami, poprawiła róże w wazonie, przestawiła świecznik, po czym z wysoko uniesioną głową posłała znaczące spojrzenie Lee.

Rhiannon wzięła głęboki oddech. Zanim zdążyła wymówić choćby słowo, wszedł Cliff w śnieżnobiałej koszuli, czarnych spodniach z szerokim pasem, z przewieszoną przez ramię serwetką i pięcioma kieliszkami szampana na srebrnej tacy. Lee podziękował, wziął dwie lampki, następnie zaproponował Rhiannon, żeby wyszła z nim do ogrodu. Podążyła za nim po chwili wahania. Olbrzymi pomarańczowy księżyc w pełni błyszczał tuż nad horyzontem. Gdy znikli spoza zasięgu wzroku domowników, Lee przeprosił za nietakt bratowej i macochy. Nie pozostało jej więc nic innego, niż zbagatelizować zajście. Upiła łyk szampana.

- Wiedziałaś, że Andrea przybędzie?

- Tak. Dlaczego dzisiaj płakałaś? - zapytał znienacka. - Ze zmartwienia o ojca?

- Skąd wiesz? Zresztą nieważne. Czasami dopada mnie przygnębienie, ale nie musisz się niczego obawiać. Wykonam powierzone zadania bez zarzutu, o ile rozbawione towarzystwo nie narobi kłopotów.

- Spokojna głowa, zatrudniłem ochroniarzy bez wiedzy Mary i Matta. Przybędzie mnóstwo obcych. Lepiej, żeby ktoś ich dyskretnie obserwował. Jak sama zauważyłaś, mamy w domu mnóstwo cennych przedmiotów.

- Szkoda, że sama o tym nie pomyślałam - przyznała Rhiannon ze skrucą. Mimo wszystko odetchnęła z ulgą.

Lee obserwował jej postać z zachwytem. Widok wspaniałych nóg rozbudzał jego erotyczną wyobraźnię.

- Jak widać, uzupełniamy się nawzajem - stwierdził z satysfakcją.

Rhiannon odpowiedziała jedynie półuśmiechem. Następnie odwróciła głowę. W milczeniu patrzyła na księżyc, jakby nagle przypomniała sobie o konieczności zachowania zawodowego dystansu.

Kilka godzin później, po obfitej kolacji goście wyszli na parkiet. Jak do tej pory wszystko szło po myśli Rhiannon. Zebrała wiele komplementów. Rozbawione towarzystwo nie sprawiało żadnych kłopotów. Mary Richardson również promieniała

szczęściem. Była prawdziwą gwiazdą wieczoru. Matt z naturalnym wdziękiem odgrywał rolę gospodarza, Lee świadomie pozostawał w cieniu brata. Rhiannon niejednokrotnie pochwyciła ciekawe spojrzenia gości. Zwłaszcza we wzroku kobiet dostrzegała błyski zazdrości, że to ją wybrał na towarzyszkę. Andrea Richardson przyszła bez partnera. Brylowała w towarzystwie, lecz uparcie ignorowała Lee. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że z Mary łączy ją nić sympatii. Kiedy uprzątnięto stoły, Lee podziękował Rhiannon za wspaniałą organizację imprezy, następnie poprosił ją do tańca. Usiłowała odmówić, ale nie słuchał protestów. Ujął ją pod ramię i wyprowadził na środek sali.

Zgrali się natychmiast. Wprost płynęli po parkiecie w rytm słodkiej, cichej ballady, jakby tańczyli ze sobą od lat. Rhiannon nie odrywała wzroku od gęstej, ciemnej czupryny. Pragnęła zanurzyć dłoń w jego włosach. Czuła na sobie ciepło silnego ciała, dotyk miękkiej wełny marynarki, wspaniałą grę mięśni pod skórą. Nie zapomniała o spotkaniu przy basenie. Pamiętała tę postać bez ubrania, w samych kąpielówkach. Wtedy pachniał tylko sobą. Teraz zapach wody kolońskiej jeszcze silniej pobudzał jej zmysły. Prowadził ją pewnie, jak wcześniej samochód, tak jak bez wątpienia potrafiłby wprowadzić ją na nowo w świat erotycznych uniesień. Przeczynała, że jej ciało słuchałoby

jego rytmu tak jak stopy podczas tańca. Objął ją ciaśniej w talii obydwoma rękami.

- Od początku nie wierzyłem, że absolwentka elitarniej szkoły nie umie tańczyć - szepnął jej do ucha.

- Myślałam, że będę ci deptać po palcach. Od lat nie byłam na zabawie.

- Dlaczego?

- Nieważne.

- Powiedz, proszę. - Zwolnił tempo, przyciągnął ją bliżej, tak że ledwie kołysali się w rytm sennej melodii.

- Nie ciągnij mnie za język. - Umknęła wzrokiem w bok, na policzki wystąpił rumieniec, a na czoło kropelki potu.

- Nie muszę. Nie zaprzeczysz, że nie jestem ci obojętny. I wzajemnie. Dość tych niedomówień, Rhiannon. Wybiła godzina szczerości. — Z tymi słowy wyprowadził ją z sali tym samym powolnym, półsennym krokiem, mimo że z głośnika płynęła już zupełnie inna, skoczna melodia.

Rhiannon dokładała wszelkich starań, by opanować emocje. Zanim opuścili salę, zerknęła jeszcze przez ramię. Dyskotekowe światła skąpały podrygujący tłum w różowo-zielonej tęczy. Mary tańczyła z jakimś nieznajomym, Andrea z dystyngowanym, starszym panem o siwej czuprynie. Rhiannon doskonale pamiętała pełne niechęci napięcie, jakie panowało przez cały wieczór pomiędzy

nią a Lee Richardsonem. Lee zaprowadził ją w to samo miejsce, z którego uprzednio oglądali wschód księżyca. Rhiannon zaczerpnęła powietrza.

- Byłam kiedyś zakochana i zaręczona - wyznała. - Lecz marzenia o szczęściu przysły, gdy wyszło najaw, że nie odziedziczę fortuny. Narzeczony zostawił mnie w ciąży. Wkrótce poroniłam. Miałam dwadzieścia jeden lat... - przerwała.

- Od dwóch dni zastanawiałem się, jaką tragedię przeżyłaś. Nie umknęło mojej uwagi, że mówiłaś o zmiennych nastrojach podczas ciąży, jakby przemawiało przez ciebie doświadczenie.

- Miałaś rację. Chyba teraz cię nie dziwi mój brak zaufania do mężczyzn, a przede wszystkim do siebie - dodała, odwróciwszy wzrok.

- Zbyt wiele na ciebie spadło w krótkim czasie - zauważył, zdjęty współczuciem. - Śmierć mamy, bankructwo i choroba ojca. Miałaś wszelkie powody do załamania. Wiem, jak boli złamane serce, ale...

- Nawet jeśli rany się zabiżniły, nie zaryzykuję ponownej porażki - wpadła mu w słowo. - Jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, to tylko za kogoś, na kim mogę polegać, kto mnie nie skrzywdzi, zapewni mi godne życie.

- Miło mi słyszeć, że nie wyklucasz takiej ewentualności - wtrącił, kładąc dłonie na jej ramionach.

- Tym razem nie posłucham głosu serca. Nie

oczekuję już wielkiej miłości, wolę małżeństwo z rozsądku. Romanse również mnie nie interesują. Przyjechałam tylko do pracy A teraz wybacz, muszę wracać do swoich zajęć - dodała na odchodnym, usiłując bez skutku opanować drżenie głosu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rhiannon wróciła do kuchni tuż po północy, gdy zmywarki już pracowały pełną parą. Pogratulowała pracownikom sukcesu, poprosiła Sharon o zaparzenie kawy i podanie na koniec imprezy gorącej zapiekanki z jajkami i boczkiem według starego przepisu matki. Jednakże kiedy ją kroić, myśli podały jej własnym torem. Nie rozumiała, skąd nagle przyszedł jej do głowy gotowy plan przyszłego życia. Od dnia zerwania zaręczyn nigdy nie brała pod uwagę możliwości zamążpójścia. Czyżby pobyt w wiekowej rezydencji, pamiętającej wiele pokoleń, rozbudził głęboko skrywane marzenia o własnym domu, mężu, dzieciach? Czy też kiełkowały w niej wbrew woli przez te wszystkie lata oglądania cudzego szczęścia? Jednego była pewna: nie istniała szansa zbudowania własnego tutaj, u boku zatwardziałego samotnika o manierach uwodziciela. Nie pozostało jej nic innego, jak porzucić płonne nadzieje, wykonać zlecenie do końca i na zawsze zapomnieć o Lee Richardsonie.

- Już trzeci raz pytam, czy podawać kawę! - wyrwał ją z zamyślenia podniesiony głos Sharon.

- Ach, tak, oczywiście. Przepraszam, zamyśliłam się. Zrobisz to za mnie? Mam dość tego zgiełku - poprosiła.

- Oczywiście. Aha, zostawiłaś w kuchni komórkę. Leży na blacie. Ktoś dzwonił, ale nie zdążyłam odebrać. Na pewno zostawił wiadomość.

- Dziękuję. - Rhiannon odnalazła telefon.

Na widok numeru jej domu w Sydney po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Jak co dzień, dzwoniła już tego dnia dwukrotnie do cioci, toteż przewidywała złe wieści. Rzeczywiście, gdy nacisnęła guzik, usłyszała jej przerażony głos.

Lee znalazł ją pół godziny później, wtuloną w fotel nad krytym basenem, z rozmazanym na policzkach tuszem i czerwonym nosem. Nawet gdyby chciała, nie potrafiłaby ukryć, że płakała. Usiadł naprzeciwko niej na brzegu leżaka.

- Co się stało, Rhiannon? Sharon martwi się o ciebie. Znikłaś zaraz po odsłuchaniu wiadomości.

- Przykro mi, ale muszę jutro wyjechać - odpowiedziała schrypniętym głosem.

- Coś z ojcem?

- Tak. - Wytarła nos chusteczką. - Od dawna czekał na protezę stawu biodrowego, ale teraz w wyniku wypadku samochodowego nastąpiło złamanie kości miednicy. Zostały też uszkodzone niektóre organy wewnętrzne. Stan jest krytyczny.

Wymaga co najmniej trzech operacji. Zarezerwowałam sobie na jutro bilet, ale pierwszy samolot odlatuje dopiero o dziesiątej - zaszlochała.

- Uspokój się. Na razie chodź ze mną.

- Dokąd? Lepiej, żeby nikt mnie nie oglądał w tym stanie.

- Zabiorę cię do mojego skrzydła budynku, gdzie będziemy sami. Należę ci brandy. Zresztą goście już wychodzą. - Pomógł jej wstać.

Rhiannon nie protestowała. Szła za nim jak automat, kompletnie zdruzgotana.

Okna złożonego z sypialni i salonu apartamentu, do którego ją zaprowadził, również wychodziły na trawnik, lecz od strony wschodniej werandy prowadziły do nich osobne drzwi. Inne, dwuskrzydłowe łączyły tę część domu z głównym budynkiem. Lee pozapalał kinkiety w obszernym, urządzonym z męską prostotą pokoju. Jego wyposażenie stanowiły sofa i dwa obite skórą fotele, zestaw muzyczny i kino domowe w mahoniowym regale, uroczy, zabytkowy komplet szachów na stoliczku oraz kilka pejzaży z australijskiego buszu. Ani śladu kwiatów, ozdób czy bibelotów. Lee wskazał jej miejsce na sofie, otworzył barek, wyciągnął butelkę koniaku i napełnił dwie pękate szklaneczki. Po chwili wahania Rhiannon zdjęła buty, usiadła wygodnie i podkuliła nogi pod siebie. Lee zrzucił marynarkę, rozluźnił krawat.

- Nikomu nie wolno tu wejść bez zaproszenia.
- Z kim grasz w szachy?
- Z Cliffem. Jest świetnym partnerem.
- Dawniej grywałam czasami z ojcem. - Rhiannon przygryzła wargę. Jej twarz wykrzywił grymas bólu.
- Jeśli twojego tatę odwieziono do szpitala, to jest pod dobrą opieką - usiłował ją pocieszyć.
- Tak, ale powinnam przy nim być.
- Odwiozę cię jutro do Coolaganta...

Zanim zdążył dokończyć zdanie, zadzwonił domofon. Ponieważ odpowiadał monosylabami, Rhiannon nie potrafiła odgadnąć, z kim rozmawia. Później przeprosił ją na chwilę, włączył płytę CD i wyszedł do głównej części domu, zamykając za sobą drzwi. Rhiannon ułożyła głowę na oparciu sofy. Przemknęło jej przez głowę, że któryś z gości narobił kłopotów, ale po kilku łykach mocnego trunku opadły jej powieki. Robiła, co w jej mocy, żeby nie usnąć, ale przegrała. Zasnęła na siedząco.

Obudziła się przed świtem. Gdy otworzyła oczy, ujrzała nieznajomą nocną szafkę z elektronicznym zegarem. W sąsiednim pomieszczeniu świeciła lampa, a ona leżała, kompletnie ubrana, w obcym łóżku. W łóżku pracodawcy, w jego sypialni! Na widok gospodarza usiadła tak gwałtownie, że straciła szklankę z nocnego stolika. Lee

Richardson we własnej osobie stał w drzwiach w podkoszulku i treningowych spodenkach.

- O Boże! - wykrzyknęła z przerażeniem.
- Tak mi przykro, że zaniedbałam obowiązki!

- Spokojnie, Rhiannon, wszystko w porządku. Dobrze, że odpoczęłaś po tak wyczerpującym dniu - uspokajał ją łagodnym tonem, siadając na brzegu łóżka. - Znalazłem cię śpiącą na sofie, więc przenieśliśmy do sypialni. Przeżyłaś trudne chwile. Możesz się wypłakać na moim ramieniu.

Chociaż w oczach Rhiannon znów zabłyśły łzy, tym razem nie zaszlochała. Zamknęła oczy, usiłując opanować narastające przygnębienie. Przeprosiła jeszcze raz, po czym oparła głowę na mocnym ramieniu i wzięła kilka głębokich oddechów. Nagle poczuła się jak rozbitek, którego fala wyrzuciła na bezpieczny brzeg. Po śmierci mamy i bankructwie ojca samotnie walczyła o przetrwanie. Ciocia wprawdzie udzielała jej wsparcia, lecz mimo wszystko ciężar, który spadł na nią w tak młodym wieku, przekraczał jej siły. Teraz nareszcie doznała pociechy. Człowiek, po którym najmniej by się tego spodziewała, otoczył ją ciepłem, zapewnił opiekę. Uniosła głowę. Na widok zmierzwionej czupryny i błękitnych oczu pod ciężkimi, półprzykniętymi powiekami serce ponownie przyspieszyło rytm. Nagle zamknął oczy i opuścił ręce,

jakby podjął jakąś decyzję. Zbliżyła ku niemu twarz.

- Nie opuszczaj mnie. Potrzebuję twojego wsparcia. - Złożyła na jego ustach pocałunek, leciutki jak dotknięcie skrzydła motyla.

Lee zamruczał jak kot, znieruchomiał na moment, a gdy złapała oddech, zamknął ją w objęciach i pocałował namiętnie. Później ułożył ją na poduszkach, wodził palcami po szyi i dekolcie. Delikatnie zdjął z niej ubranie, pieścił piersi, wreszcie oderwał od niej dłonie i ściągnął swoją koszulkę przez głowę. Długo podziwiał w milczeniu nagie ciało Rhiannon, zanim ponownie jej dotknął. Wodził dłońmi wzdłuż całej sylwetki, jakby rzeźbił jej postać, jakby chciał ją zachować w pamięci na zawsze. W końcu wstał, sięgnął do szuflady nocnego stolika, po czym, zupełnie nagi, dołączył do niej. Wyszła mu naprzeciw, świadoma swej kobiecości, zapachu i smaku opalonej skóry pożądanego mężczyzny. Wszelkie zahamowania odeszły w niepamięć, zabierając w niebyt dramatyczne doświadczenia z przeszłości. Śmiało gładziła cień zarostu na policzkach, kręcone włoski na piersi, całowała i badała dłońmi jego ciało, nim wprowadził ją na szczyty rozkoszy. Później uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie oddawała siebie tak bezgranicznie, nie chwyciła szczęścia pełnymi garściami tak jak teraz. Wyczerpani, zdyszani, bezgranicznie szczęśliwi, dłu-

go jeszcze lgnęli do siebie, wciąż niesyci wzajemnej bliskości.

- Dobrze ci? - spytał znacznie później, kiedy już nieco ochłonęli.

Rhiannon nie była w stanie wypowiedzieć słowa. Skinęła tylko głową. Lee delikatnie pocałował ją w usta. Otarła policzek o jego ramię, jednak zaraz zamarła w bezruchu na dźwięk podniesionych głosów za drzwiami.

- Co to takiego?

- Jakiś kolega przyjaciela Mary został przyłapany na kradzieży cennej figurki z nefrytu. Sprawa zostałaby zatuszowana, gdyby nie zrobił awantury po pijanemu. Wrzeszczał na cały głos, że chciał ją tylko obejrzeć, mimo że ochroniarz wyjął mu ją z kieszeni. Mary stanęła w jego obronie, chociaż nigdy wcześniej go nie widziała. Na domiar złego skrzyczała mnie, że wynająłem ochronę, by śledziła jej przyjaciół. Wyrzucała mi, że narobiłem jej wstydu przy ludziach.

- Podejrzewam, że szuka pretekstu, żeby nie zamieszkać w Southall.

- Słusznie. Wbrew moim intencjom spotkanie z dawnymi znajomymi utwierdziło ją w przekonaniu, że nie warto porzucać światowego życia dla sennej egzystencji na odludziu - stwierdził z goryczą, nawijając sobie na palec pasemko włosów Rhiannon.

- Po co w takim razie próbujesz ich zmusić do przeprowadzki wbrew woli?

- Nie za wszelką cenę. Liczę na poparcie Mat-ta. Działam dla jego dobra.

Rhiannon zmarszczyła brwi. Uświadomiła sobie, że nie rozumie, o co toczy się gra. Jej zdaniem pozostawienie rezydencji niezamieszkałej nie przyniosłoby rodzinie wielkiej szkody. Nie poświęciła na rozważanie tej kwestii zbyt wiele czasu. Nie miała dla niej wielkiego znaczenia wobec faktu, że leżała w ramionach upragnionego mężczyzny. Nagle posmutniała. Lee w mgnieniu oka dostrzegł zmianę nastroju.

- Co cię gnębi?

- Nic... Nie zrozum mnie źle. Nie przywiązuję wagi do dzisiejszej przygody. Wybacz, że cię sprowokowałam. Zrozum, tak bardzo potrzebo-wałam ciepła... - wykrztusiła z największym trudem.

- Nie rób sobie wyrzutów. Oboje tego pragnęliśmy. Podarowałaś mi raj na ziemi. - Położył jej palec na ustach. - Czasami sprawy przybierają zupełnie nieoczekiwany obrót wbrew naszym intencjom. Czy wyjdiesz za mnie, Rhiannon?

- Żartujesz! - wyszeptała prawie bez tchu.

- Nie. - Pokręcił głową, odchylił róg kołdry i zaczął się bawić naszyjnikami na jej piersiach.

- Znasz mnie zaledwie od kilku dni.

- Nieprawda, od czterech lat. A dzisiaj poznaliśmy się nieco lepiej - przypomniał, pożerając wzrokiem jej nagie ciało.

- Nawet mnie nie rozpoznałeś. Nic dziwnego. Wtedy wyglądałam jak wiedźma w tym koszmarnym berecie - dodała z uśmiechem zażenowania.

Lee roześmiał się serdecznie. Odrzucił kołdrę, odsłaniając całą sylwetkę Rhiannon.

- Te nogi rozpoznałbym na końcu świata - powiedział.

- To jeszcze nie powód, żeby mnie prosić o rękę.

- W każdym razie nie najgorszy z możliwych. Lubisz mnie choć trochę?

- Na razie nie widzę powodu, żeby cię nie lubić.

- Ufasz mi?

- Chyba tak.

- Wierzysz, że zapewnię ci godne warunki życia?

- O nie, teraz łapiesz mnie za słowo! - Usiadła gwałtownie i owinęła się kołdrą.

- Przypominam ci tylko, czego sobie życzyłaś. Moim zdaniem potrafię spełnić twoje wymagania. Nie widzę żadnych przeciwwskazań do małżeństwa. - Objął ją w talii i zanurzył głowę w zagłębieniu pomiędzy piersiami. - Jesteśmy dla siebie stworzeni, Rhiannon.

Popatrzyła na ciemną, gęstą czuprynę. Kusiło

ją, by zanurzyć palce w jego włosach, ale wysiłkiem woli odparła pokusę.

- Nie sędzę. Wyczuwam jakąś tajemnicę, prawdopodobnie związaną z Southall. Poza tym nie zapomniałam, że nie interesują cię nowe znajomości - przypomniała. - Gdybym tak rozpaczliwie nie potrzebowała pocieszenia, do niczego by między nami nie doszło.

- Nie okłamuj samej siebie. Zaiskrzyło między nami już przed czterema laty. Gdy ponownie nawiązaliśmy kontakt, wzajemne zainteresowanie odżyło. Rumieniec na twojej buzi tylko potwierdza prawdziwość mojej tezy - dodał na widok zaróżowionych policzków Rhiannon. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy.

- Mimo wszystko wolałabym wiedzieć, na czym stoję. - Zagryzła wargę, patrząc w dal przez jego ramię.

W tym momencie zadzwonił -domofon. Lee zaklął pod nosem, wstał, włożył spodnie i koszulkę.

- To na pewno Matt. Zaczekaj tutaj.

Lecz Rhiannon również wstała.

- Ja też powinnam już iść. Najwyższa pora wziąć prysznic. Mam wyrzuty sumienia, że ani przez chwilę nie pomyślałam o ojcu...

- Leżąc w moich ramionach - dokończył za nią Lee z figlarnym błyskiem w oku. - Nic nie szkodzi. Pomyślimy o nim razem, jak tylko załatwię swoje

sprawy. Na razie weź kąpiel tutaj. Możesz włożyć mój szlafrok.

- Ależ, Lee, tak nie można - wykrztusiła z zażenowaniem.

- Nie odchodź, proszę. Jak wrócę, wspólnie znajdziemy wyjście z sytuacji. Bez obawy, pomogę ci - zapewnił, patrząc poważnie w jej oczy.

Rhiannon wykąpała się, umyła głowę, włożyła granatowy szlafrok Lee i wróciła przez salon do sypialni. Wszystkie czynności wykonywała automatycznie, podczas gdy jej myśli krążyły na przemian wokół ojca i kochanka. Lee wrócił zaraz po niej z herbatą i grzanką na tacy. Postawił wszystko na podręcznym stoliku. Podszedł bliżej, nie odrywając oczu od jej twarzy. Mimo oporu rozchylił poły szlafroka, obejrzał ją od stóp do głów.

- Jesteś niezwykle piękna - wyszeptał, po czym owinał ją z powrotem.

- Co się znowu wydarzyło? - spytała z zakłopotaniem.

- Matt z Mary wracają jutro do naszego mieszkania w Brisbane, w dużym stopniu za sprawą Andrei.

- Nie potępiaj ich. To ich życie, niech sami decydują, - Rhiannon zagryzła wargę. - Z tego wniossek, że już mnie nie potrzebujesz - dodała po chwili wahania.

- Ależ jak najbardziej - zaprotestował, zagładając jej głęboko w oczy.

- Miałam na myśli moje usługi - wyjaśniła z wysiłkiem.

- Co to, to nie, ale ty sama jesteś mi potrzebna.

Wzięła z tacy grzanek i filiżankę z herbatą. W innych okolicznościach jego troska przyniosłaby jej ukojenie, ale nie teraz, gdy dręczyły ją setki wątpliwości.

Lee również wziął sobie śniadanie, po czym usiadł obok.

- Pasujemy do siebie pod każdym względem, Rhiannon. Mnie również miłość przyniosła wielkie rozczarowanie. Moje chłodne podejście do życia wynika z gorzkich doświadczeń. - Przerwał. Przez chwilę uważnie obserwował jej twarz. - Poza tym masz rację. Southall również odgrywa dość znaczącą rolę w całej sprawie - dodał.

- Jaka? - spytała prawie bezgłośnie.

Nie odpowiedział od razu. W skupieniu mieszał herbatę ze zmarszczonymi brwiami.

- Jak wiesz, znacznie młodsza od ojca Andrea skłoniła go do porzucenia Australii i zamieszkania z nią na południu Francji. - Upił łyk. Jego rysy nagle stężyły. - Pewnie uważasz, że mieli prawo układać sobie życie, jak chcieli. W zasadzie masz rację, lecz po jego śmierci Andrea zapalała nagle, dość podejrzaną miłością do domu, który moja mama urządziła i w którym umarła. Chce tu

zamieszkać na stałe za wszelką cenę, a ja nie zamierzam na to pozwolić.

- Nadal niewiele rozumiem - przyznała Rhiannon, marszcząc brwi.

- Odziedziczyliśmy Southall wraz z Mattem, ale Andrea wymusiła na ojcu umieszczenie w testamencie pewnej klauzuli. Otóż jeśli po jego śmierci żaden z nas nie osiadzie tu wraz z rodziną, Andrea ma prawo tu mieszkać.

W głowie Rhiannon panował kompletny chaos.

- A więc to dlatego dokładałeś wszelkich starań, by nakłonić Martę do przeprowadzki - podsumowała, gdy wreszcie nieco uporządkowała myśli. - Urządziłeś przyjęcie, żeby przekonać Mary, że i tu nie zabraknie jej rozrywek, wynająłeś mnie do pomocy...

- Uważasz moje starania za czystą manipulację, prawda? Nie masz racji. To moja macocha od samego początku manipuluje Mary. Kiedy Matt ją poślubił, Andrea pojęła, że bez interwencji z jej strony z jej planów wyjdą nici. Gdy Matt zabrał żonę podczas podróży poślubnej na południe Francji w celu odwiedzenia grobu ojca, przystąpiła do działania. Bez trudu odgadła, że Mary nie odpowiada spokojny, wiejski styl życia, toteż wystarczy trochę nad nią popracować, by sprzeciwiła się mężowi.

Rhiannon wzięła głęboki oddech.

- Być może niesłusznie ją potępiasz. Jestem tu

wprawdzie obca, ale z daleka czasami więcej wi-
dać. Spróbuj więc wziąć pod uwagę mój punkt
widzenia. Nie można wykluczyć, że twój ojciec,
bardzo samotny po śmierci żony, naprawdę zako-
chał się bez pamięci w pięknej modelce.

- Pewnie tak, co wcale nie przemawia na jej
korzyść. Skorzystała z okazji, żeby omotać bogate-
go wdowca.

- Niekoniecznie. Nie masz pewności, czy na-
kłoniła go do umieszczenia korzystnej dla siebie
klauzuli w testamencie. Być może z własnej inic-
jatywy pomyślał o zapewnieniu jej stałego miejsca
do życia. Zdawał sobie przecież sprawę, że go
przeżyje. Nie sądzisz, że młoda wdowa jak każdy
potrzebuje oparcia, stabilizacji, poczucia przyna-
leżności do rodziny?

- Nic na to nie wskazuje. Na razie robi wszyst-
ko, żeby nas poróżnić. Mattowi już przysporzyła
rozterek. Jeśli skłoni Mary do przeprowadzki do
Southall, zawiedzie ją, a jeżeli nie - wtedy zawie-
dzie mnie. Ponieważ obalenie testamentu nie
wchodzi w grę, tylko założenie rodziny przeze
mnie rozwiązuje problem.

Rhiannon otworzyła usta. Patrzyła na niego ze
zdumieniem i wyrzutem.

- Tak więc, skoro twoje plany spaliły na pa-
necce, wybrałeś sobie wygodne narzędzie do
realizacji własnych celów - podsumowała z go-
ryczą. - No nie, tego tylko mi brakowało! - wy-

krzyknęła z oburzeniem. Odłożyła nietkniętą grzanekę i wstała.

Lecz Lee nie dał się zaskoczyć. W mgnieniu oka odstawił filiżankę, wstał i chwycił ją za nadgarstek.

- Czy rzeczywiście tak bardzo przeraża cię perspektywa zamieszkania w Southall, Rhiannon? Nie lubisz tego miejsca?

- Uwielbiam, ale nie w tym rzecz.

- Mama z pewnością by cię zaakceptowała. Przypominasz ją pod wieloma względami, charakterem, zaradnością, energią. Pokochałaby cię całym sercem, zwłaszcza że ty pokochałaś jej dom.

Rhiannon potarła policzek wolną ręką.

- Zwabiłeś mnie w pułapkę - wypomniała z wyrzutem.

- Poniekąd, ale nie mam złych zamiarów. Ja również kocham Southall, ale zmęczyło mnie samotne życie na odludziu. Ty również pragniesz stabilizacji, a ja ci ją zapewniam.

- Po co w ogóle otwierałam usta? - jęknęła Rhiannon.

- Na szczęście szybciej mówisz, niż myślisz, tak jak wtedy, gdy zwróciłaś moją uwagę na swoje nogi - zażartował z figlarnym uśmiechem, ku jeszcze większej rozpaczy Rhiannon. - Ale nie pora na żarty. Zapewnię twemu ojcu najlepszą opiekę medyczną w blisko położonym szpitalu, żebyś mogła często go odwiedzać. Zaproszę też

twoją ciocię, jeśli tylko zechce z nami zamieszkać. Na terenie posiadłości stoi wygodnie urządzone, niezamieszkały domek. Z pewnością będzie jej odpowiadał.

Rhiannon patrzyła na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- Naprawdę zrobiłbyś aż tyle, żeby wygnąć macochę z Southall? - wykrztusiła przez ściśnięte gardło, gdy wreszcie odzyskała mowę.

- Nie, ponieważ tego właśnie chcę. Gdyby chodziło tylko o Southall, mógłbym je sprzedać i zakończyć spór raz na zawsze mimo całego mojego przywiązania do tego skrawka ziemi.

Rhiannon wydała tylko cichy jęk protestu. Na więcej nie było jej stać. Drżała na całym ciele. Lee podał jej herbatę i talerzyk. Rhiannon z ociąganiem zjadła połowę grzanki, rozważając w duchu otrzymaną propozycję. Wreszcie podjęła decyzję.

- Doceniam twoją troskę o tatę, ale nie mogę za ciebie wyjść. Nie mam wiele do zaoferowania w zamian. Czułabym się twoją dłużniczką do końca życia.

- Nie zapominaj, że ty również wyświadczasz mi przysługę - przypomniał. - Poza tym przypuszczam, że nie stać cię na zapewnienie ojcu właściwej opieki.

- Zawsze można wziąć pożyczkę.

- Pożyczyłbym ci odpowiednią kwotę, ale...

- Wykluczone! - przerwała gwałtownie.

- Posłuchaj mnie, zanim odrzucisz moją propozycję. Ale wolałbym pojąć cię za żonę, ponieważ obrzydło mi kawalerskie życie. Stanowilibyśmy doskonałą parę, nie tylko w łóżku. Pokażę ci farmy, otworzę przed tobą okno na nowy świat. Potrzebuję powiewu młodości, mądrej, pięknej, pełnej energii towarzyszkę życia. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Chyba nawiązując ze mną romans, nie zamierzałaś tak po prostu odejść?

- Ja... niczego w ogóle nie planowałam, zwłaszcza romansu - wykrztusiła z płonącymi ze wstydu policzkami.

- Nie mogłem dłużej czekać, aż przełamiesz opory. Zapewniam cię, że nie żałuję ani minuty. Dałaś mi wiele szczęścia - przekonywał żarliwie z łagodnym uśmiechem.

Rhiannon przygryzła wargę. Nie zdołała opanować drżenia.

- W gruncie rzeczy jesteśmy sobie obcy.

- Jeśli znajdziesz innego obcego, który da ci tyle rozkoszy co ja, wycofam swoją propozycję - odparł śmiertelnie poważnym tonem, ponownie rozchylając poły szlafroka.

Rhiannon wzięła głęboki oddech, gdy silne, gorące dłonie objęły jej piersi. Bez skutku usiłowała opanować dreszcz pożądania. Jej ciało oblała fala gorąca, jakby dotyk Lee roztopił bryłę lodu w jej sercu. Każdym spojrzeniem, każdym gestem

budził ją na nowo do życia. Jakiś wewnętrzny głos szeptał, że nie warto odrzucać szczęścia, lecz równocześnie słyszała dzwonek alarmowy, który ostrzegał przed nieznanym jeszcze ryzykiem. W beładnej gonitwie myśli zaświtała jej nagle myśl o ojcu. W końcu nadzieja na pomoc najbliższemu sercu człowiekowi przeważyła szalę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Miesiąc później Rhiannon obudziła się w dniu swojego ślubu. Ubiegłe tygodnie minęły błyskawicznie. Lee nie tracił czasu. Zorganizował przewiezienie przyszłego teścia awionetką do prywatnej kliniki na Złotym Wybrzeżu, gdzie zoperowano mu złamaną miednicę i inne uszkodzone organy i wstawiono endoprotezę. Ponieważ otrzymał silne środki znieczulające, niewiele z tego pamiętał. Lekarze obiecywali, że w pełni wróci do zdrowia. Lee wynajął też mieszkanie niedaleko szpitala dla Rhiannon, żeby oszczędzić jej dalekich podróży. Zamieszkała tam razem z ciocią. Spakowanie do bytku i przeprowadzka przebiegły błyskawicznie. Później czuwały na przemian przy chorym. Oduurzony lekami przeciwbólowymi pan Fairfax przeważnie spał. Budził się tylko na krótko. Lee niczego nie wymagał od narzeczonej, zostawił jej pełną swobodę. Nie spali teraz razem, lecz bardzo zblżyli się do siebie, co ją ciągle dziwiło.

Lee uprzedzał jej życzenia, jakby czytał w jej myślach. Tylko wtedy, gdy nie było go w pobliżu, ogarniały ją wątpliwości. Czy rozumie go równie

dobrze jak on ją? Czy kiedykolwiek pozna tajemnice, które skrywa w sercu? Nie zapomniała bowiem tych chwil, kiedy czuła, że zamyka przed nią duszę. Czy zrobił dla niej tak wiele z potrzeby serca, czy też z innych, sobie tylko znanych powodów? Postanowiła postawić ojca przed faktem dokonanym. Nie chciała, żeby dręczyły go wyrzuty sumienia, że poślubiła bogatego człowieka, by go ratować, ale Lee nie wyraził zgody.

- Trzeba go przekonać, że budujemy wspólną przyszłość na solidnych podstawach - argumentował. - Musi przyjąć do wiadomości, że wiele nas łączy, a wtedy zaakceptuje nasz związek - tłumaczył cierpliwie.

Rhiannon ponownie przedstawiła swoje obiekcje, lecz Lee nie słuchał żadnych argumentów. Patrzył z troską na ciemne cienie wokół oczu narzeczonej, gładził ją po policzkach i uspokajał najlepiej jak potrafił. Uzgodnili, że jeszcze tego samego dnia zawiadomią chorego, że jego córka wychodzi za mąż. Razem odwiedzili go w szpitalu. Po krótkiej rozmowie Lee zostawił Rhiannon sam na sam z ojcem. Jego twarz promieniała szczęściem pomimo bólu i wyczerpania.

- Sprawiaś mi wspaniałą niespodziankę. Od dawna nurtowało mnie, że nie chcesz nawet spojrzeć na żadnego mężczyznę. Bardzo polubiłem twój narzeczonego. Tylko dlaczego wcześniej nie wspomniałaś o nim ani słowem?

- Wolałam najpierw nabrać pewności, że można na nim polegać. Po raz pierwszy spotkałam go kilka lat temu, ale dopiero teraz poznałam bliżej. Wiele mu zawdzięczam - wyznała z zakłopotaniem, z oczami wbitymi w podłogę.

Gdy podniosła wzrok, Lee Fairfax uważnie obserwował jej twarz.

- Więc to dzięki niemu zostałam przewieziony do Queensland? - odgadł w mgnieniu oka.

- Tak - przyznała bez ogródek.

Następnie naświetliła mu problemy, związane z dziedziczeniem Southall. Później wyrzucała sobie, że powiedziała za dużo. Gdyby ojciec nie był pod wpływem środków znieczulających, z pewnością szybko zaczęłyby go dręczyć wątpliwości. Po trudnej wewnętrznej batalii doszła jednak do wniosku, że dobrze zrobiła, stawiając sprawę jasno. Świadomość, że wynagrodzi przyszłemu mężowi poniesione nakłady w taki sposób, jakiego sobie życzył, uciszyła do reszty wyrzuty sumienia.

Ciocia Diana, wysoka, postawna kobieta w średnim wieku o rozmarzonych, orzechowych oczach i artystycznej duszy, potrafiła jednak rozsądnie myśleć. Z wdzięcznością przyjęła propozycję przeprowadzki do Southall, gdzie mogła być blisko brata. Jednak dokładała wszelkich starań, żeby wyciągnąć z bratanicy prawdziwy powód pospiesznego ślubu. Rhiannon po kilku wymijających

odpowiedziach wyjawiała jej prawdę. Jednak dopiero po spotkaniu z Lee Dianę przestały dręczyć wątpliwości. Byłoby przesadą twierdzić, że Lee podbił jej serce, ale polubiła go od pierwszego wejrzenia. Natomiast zawiadomienie Marta i Mary wymagało opracowania odpowiedniej strategii. Lee zabrał Rhiannon do ich mieszkania w Brisbane, by obwieścić niespodziewaną nowinę.

- Co takiego?! - wykrzyknął Mart z niedowierzaniem. - Przecież prawie się nie znacie.

- Poznałem Rhiannon cztery lata temu - odparł Lee.

Mary Richardson, która zdążyła już ochłonać po awanturze na rodzinnym przyjęciu, przyjęła wiadomość z wielkim entuzjazmem.

- Cudownie! A nie mówiłam, że sprawy w Southall jakoś się ułożą bez naszego udziału? Andrea pewnie nie będzie zachwycona, ale... zawsze uważałam, że nie miałyby tam co robić - dodała po chwili wahania.

Mart rzucił żonie ostrzegawcze spojrzenie. Następnie zwrócił wzrok ku bratu. Lee ujął rękę Rhiannon, jakby szukał u niej wsparcia.

- Prawdę mówiąc, nie możemy sobie pozwolić na zwłokę.

Rhiannon poczerwieniała na widok intensywnego spojrzenia błękitnych oczu, które przypominało jej wspólnie spędzone noce. Nie mogłyby lepiej zareagować, nawet gdyby wcześniej prze-

LINDSAY ARMSTRONG

ćwiczyła tę scenę. Jej zakłopotanie przekonało Matta. Prawdopodobnie właśnie ów rumieniec sprawił, że uznał ją za osobę prostolinijną i bezpretensjonalną.

Rankiem w dniu ślubu Rhiannon została dłużej w łóżku, by uporządkować myśli. Nie zapytała Lee, jak Andrea Richardson przyjęła wiadomość o ślubie, a on sam ani razu nie poruszył tego tematu. Znacznie bardziej absorbowały ją własne odczucia. Wciąż miała wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Ciągłe dręczył ją jakiś nieokreślony niepokój. Nagle wpadła w popłoch. Porażona nagłą myślą usiadła gwałtownie na łóżku. Czemu wcześniej nie dopuściła rozsądku do głosu, czemu odzyskała zdolność logicznego rozumowania dopiero w ostatniej chwili? Czemu nie zapytała, co go spotkało ani dlaczego nie wyraził zgody na poinformowanie ojca o małżeństwie dopiero po fakcie? Czy zabrakło jej odwagi, czy obawiała się usłyszeć jakąś straszną prawdę? Przecież już podczas pierwszego spotkania Lee dał jej do zrozumienia, że przeżył zawód miłosny, który zranił go do związków. Po długiej wewnętrznej walce powiedziała sobie wreszcie, że odkrycie sekretów przeszłości narzeczonego nic by nie zmieniło, skoro wychodzi za mąż z rozsądku, czy raczej z konieczności. Mimo wszystko przeczuwała, że klucz do rozwiązania zagadki leży gdzieś

blisko, w zasięgu ręki. Gdyby jeszcze wiedziała gdzie...

Pozostała jej do rozwiązania jeszcze jedna, bynajmniej niełatwa kwestia. Choćby setki razy przysięgała sobie, że zaniknęła na zawsze serce, bliskość upragnionego mężczyzny stwarzała zagrożenie nadmiernego zaangażowania emocjonalnego bez nadziei na wzajemność. Uświadomiła sobie, że jeśli nie zachowa trzeźwego umysłu, nie będzie jej łatwo żyć u boku człowieka, z którym zawarła układ handlowy. Ponieważ zerwanie umowy nie wchodziło w grę, rozpaczliwie szukała sposobu zachowania wewnętrznej niezależności. Gdy wreszcie go znalazła, odetchnęła z ulgą.

- Nie pozwolę na to, żeby jakikolwiek mężczyzna ponownie mnie zranił - powiedziała sobie.

Ceremonia zaślubin odbywała się przy ogrodzie różanym w przepiękne, słoneczne południe. W ogrodzie ustawiono niewielki stół, nakryty pięknym obrusem. Drugi, znacznie większy, stał na wschodniej werandzie. Rhiannon niosła bukiet świeżych, jasnoróżowych róż. Zaproszono niewielu gości: Matta i Mary Richardsonów, ciocię Dianę, Christy z ojcem, Sharon oraz zastępcę Lee, George'a Bensona, który zorganizował przyjęcie, wraz z żoną Judy. Stosownie do skromnej oprawy uroczystości ciocia pomogła jej wybrać prosty kostium z jedwabiu w kolorze kości słoniowej,

złożony z krótkiej spódnicy i luźnego żakietu. Największą ozdobę stanowił naszyjnik z pereł. We włosy wpięła srebrny grzebień, również zdobiony perłami. Niestety gdy ujrzała pana młodego w ciemnym garniturze, kremowej koszuli, z bukietem kremowych róż w butonierce, znów zawiodły ją nerwy. Wyglądał oszałamiająco, ale jakże obco!

Lecz kiedy się odwrócił, gdy patrzył z zachwytem na jej nogi, jego twarz rozjaśnił ten cudowny, promienny uśmiech, na widok którego zawsze topniało jej serce. Wystarczyło, że wyciągnął do niej rękę, a wszystkie wątpliwości rozwiały się jak mgła w promieniach słońca. Ten jeden gest sprawił, że przestała myśleć o ucieczce. Odważnie wkroczyła w nowe życie.

Zaraz po ceremonii wypili z ojcem Rhiannon szampana, a potem zabrali ciocię na przejażdżkę wzdłuż wybrzeża. W podróż poślubną wyjechali do Queensland, nad rzekę Bloomfield. Polecieli samolotem do Cairns, następnie do Bloomfield, skąd przepłynęli łodzią na drugą stronę rzeki. Zamieszkali w wytwornym apartamencie w bungalowu, w strefie tropikalnych lasów deszczowych, w górzystym terenie, ponad doliną z widokiem na Wielką Rafę Koralową i Morze Koralowe. Wysoki pokój urządzono w odcieniach kremu i bieli na tle ścian z naturalnego drewna. Nad wielkim, podwójnym łóżem zwisała dekoracyjnie udrapowana moskitiera.

Zaraz po przybyciu Rhiannon wyszła na taras, by nasycić oczy czarownym widokiem. Kiedy nieco ochłoneła z wrażenia, dawny niepokój powrócił.

- Jak długo tu zostaniemy? - spytała po powrocie do pokoju.

- Jak długo zechcesz. - Lee obojętnie wzruszył ramionami. Wyciągnął do niej rękę.

- Czuję się jakoś dziwnie - wyznała przez ściśnięte gardło. - Jakbym śniła na jawie. Trudno mi uwierzyć, że jesteśmy małżeństwem.

- Ale to prawda. - Popatrzył znacząco na obrączkę i pierścionek z podłużnym szmaragdem i dwoma brylantami po bokach.

- Wiem. - Odgarnęła kosmyk włosów z twarzy, próbując zebrać myśli. Wreszcie przywołała na twarz słaby, nieśmiały uśmiech. - Pewnie to samo czują wyswatane żony...

- Gruba przesada. Prosiłem cię przecież o zgodę. Daj spokój naszym rozważaniom. Lepiej chodźmy popływać. Mają tu wspaniały basen, a do kolacji została godzina.

Rhiannon odetchnęła z ulgą, że wybawił ją z niezręcznej sytuacji, toteż natychmiast z wielkim entuzjazmem przyjęła propozycję.

Ledwie zostawił ją samą, opadła bezwładnie na łóżko z kostiumem w rękę. Nie rozumiała, czemu tak się zachowuje. Ogarnął ją popłoch, jakby stała w otwartych drzwiach przed wyruszeniem w wielką podróż w nieznane. Gdy opanowała nieco emocje,

wszystko, co najpiękniejsze. Rozpalaś moje zmysły, Rhiannon - dodał, delikatnie drażniąc jej sutki.

- A ty, co do mnie czujesz? - spytał, zsuwając ręce w dół, ku biodrom.

- Budzisz we mnie mieszane uczucia - wyznała po chwili wahania. - Czasami mam ochotę cię zniszczyć, a po chwili marzę o tym, by cię całować...

- Pozwalam na wszystko. Niszcz mnie, w jakikolwiek sposób chcesz - wyszeptał, całując jej włosy.

- Dziękuję, nie skorzystam - zachichotała. - W tej chwili druga opcja znacznie bardziej mnie pociąga. Nie dysponujemy wprawdzie bezludną wyspą ani ogniskiem, ale jeśli zapalimy lampkę, możesz wypróbować na mnie swoje uwodzicielskie sztuczki. Ostrzegam tylko, że nie dam ci wiele czasu na grę wstępną.

- Nie kpisz sobie ze mnie? - spytał, zaglądając jej głęboko w oczy.

- Sam sprawdź.

- Bardzo chętnie. Zostań tutaj. Zaraz wracam.

Lee wyszedł do holu. Wkrótce wrócił z dwiema lampkami szampana. Potem spijali nawzajem krople wody z powierzchni rozgrzanej skóry.

- Nie mam nic przeciwko porwaniu w krainę rozkoszy, ale wierzę w równouprawnienie - szepnęła.

Położyła się na nim i poprowadziła go ku szczęś-

ciu w odwiecznym tańcu dwojga spragnionych ciał.

- Jak to możliwe, że było jeszcze piękniej niż za pierwszym razem? - spytał, gdy wyrównali oddech.

- Syreny mają sposoby nawet na piratów - odparła ze śmiechem, tuląc policzek do jego piersi.

Lee obdarzył ją czułym uśmiechem, lecz zaraz spoważniał. Ujął ją pod brodę, uniósł jej twarz tak, że musiała spojrzeć mu w oczy.

- Jesteś zadowolona, że za mnie wyszłaś, Rhiannon? - zapytał.

- Tak. Nie pojmuję, czemu...

- Rozumiem twój lęk przed nieznanym - prze-rwał. - Działałaś w panice, pod ogromną presją, ale teraz nie jesteś już sama. Razem rozwiążemy wszystkie problemy. Poczekaj, mam coś dla ciebie. - Sięgnął do szuflady nocnego stolika i wy-ciągnął długie, podłużne pudełeczko z ciemnej skóry ze złotym ornamentem.

Rhiannon wstrzymała oddech. Widziała podobne już wcześniej. Takie samo dostała na osiemnaste urodziny. Drżącą ręką nacisnęła zamek. W środku znalazła sznur słynnych, poszukiwanych na całym świecie, hodowlanych pereł z australijskiego Morza Południowego.

Z westchnieniem zachwyty wydobyła go z wyłożonego aksamitem opakowania. Ponieważ znała się na perłach, potrafiła docenić ich piękno, wyjątkowy

włożyła bikini, płaszcz kąpielowy, klapki i zaczerpnęła powietrza jak przed skokiem w głęboką wodę.

Droga do basenu prowadziła przez wiszący mostek nad niewielkim parowem wypełnionym wodą. Przystanąła na chwilę, obejrzała czarodziejski widok, po czym ruszyła dalej. Nad basenem nie zastała nikogo. Tylko Lee pływał stylowym, mocnym crawl. Wskoczyła do ciepłej, lazurowej wody. Po zanurkowaniu wypłynęła, stanęła na dnie, rozłożyła szeroko ramiona. Przyjemne doznania przyniosły jej ukojenie, popadła w rodzaj błogostanu. Nagle objęły ją w talii dwie mocne ręce, a nieco schrypnięty, głęboki głos wyszeptał do ucha:

- Nie mogę uwierzyć, że się spotkaliśmy.

Z zaskoczenia odebrało jej mowę. Lee wziął ją na ręce i niósł poprzez wodę.

- Oto groźny pirat porywa niezwykłą syrenę o wspaniałych, długich nogach, by ją wykorzystać przy blasku ogniska, zanim porzuci na nieznanym, mrocznym brzegu - zażartował. - Przynajmniej w ten sposób postrzega mnie własna żona - dodał po krótkiej przerwie. - Nie myśl, że twoje podejrzliwe spojrzenia mi umknęły - dodał, tym razem poważnym tonem.

Rhiannon chciała zaprotestować, ale tylko przygryzła wargę, bo gorące ręce zaczęły wędrować wzdłuż ciała. Gdy objął jej biodra, zadrżała z roz-

koszy. Wtedy postawił ją na dnie basenu, odwrócił twarzą do siebie. Miał mokre włosy, gładką, opaloną skórę, na rzęsach kropelki wody.

- Zawarliśmy związek, który za wszelką cenę pragnę utrzymać - oświadczył uroczystym tonem, patrząc jej poważnie prosto w oczy.

Rhiannon wydała głębokie westchnienie.

- Czy mógłbyś mnie pocałować? - spytała prawie bez tchu.

Lee z rozkoszą spełnił jej prośbę

- Czy jesteśmy tu jedynymi gośćmi? - spytała, gdy wreszcie oderwali się od siebie i wyrównali oddech.

- Nie. Mieszkają tu jeszcze jacyś turyści, ale podobno wyjechali na cały dzień do Cooktown.

- Nadstawił uszu. - Słyszę, że właśnie wracają.

- Może lepiej zmienmy miejsce na takie, gdzie nikt nas nie zobaczy.

- Masz wspaniałe pomysły, Rhiannon - roześmiał się serdecznie.

Wyszli z basenu roześmiani i mokrzy, szybko jednak spowaźnieli. Złaknieni siebie nawzajem, wrócili do pokoju. Lee rozpiął jej biustonosz.

- Czekałem na tę chwilę cztery pełne tygodnie - wyszeptał.

- Dziękuję za cierpliwość.

- Zachowanie wstrzemięźliwości wymagało samozaparcia, ale czasami warto poczekać. Nocami śniłem o twoich nogach, ale teraz dostanę

odblask światła na bladuróżowej powierzchni, kunstowne wykonanie zapięcia z osiemnastokaratowego złota z białymi diamentami.

- Och, dziękuję, Lee - westchnęła. - Nie musiałeś... sama nie wiem, co powiedzieć.

- Nie mów nic. Kiedy tylko na nie spojrzałem, postanowiłem nadać im najlepszą oprawę. - Z tymi słowy zapiał jej naszyjnik na karku. Patrzył w niemym zachwycie, jak strumień różowobiałych kulczek spływa pomiędzy jej piersi niczym jedwabny wodospad. - O, właśnie taką.

- Z tego wniosek, że powinnam je zakładać wyłącznie do łóżka - zażartowała, zanurzając rękę w jego włosach.

- Niekoniecznie, możesz je nosić również do strojów, ha własne ryzyko - dodał z szelmowskim uśmiechem.

- Czy to znaczy, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo?

- Tylko takie, że zostaniesz rozebrana - odrzekł, po czym ponownie pochwycił ją w ramiona.

Pozostali w Bloomfield jeszcze cztery dni. Wykorzystali je na pływanie i opalanie, pieszczoty, a przede wszystkim wzajemne poznawanie się. Namiętność nie słabła, a Rhiannon odkrywała w mężu coraz więcej zalet. Każdego dnia znajdowali więcej wspólnych zainteresowań. Obydwoje prowadzili aktywny tryb życia, lubili tę

samą muzykę, po kryjomu rozwiązywali krzyżówki. Poza tym z pasją uprawiali erotyczne zabawy. Jednakże ani miłosne upojenia, ani wspólne upodobania nie rozwiały niepokoju Rhiannon. Nie potrafiła określić, co ją dręczy, ale wewnętrzne napięcie nie ustępowało, jakby podświadomie nie do końca ufała mężowi.

Pewnego dnia, podczas gdy Lee rozmawiał w holu przez telefon ze swoim zastępcą, oglądała w łóżku program krajoznawczy. Film o południowej Francji przypomniał jej uwagę Mary na temat Andrei Richardson. Rhiannon przyznawała jej w duchu rację. Czego ta światowa kobieta, modelka, szukała na odludziu? Jakie plany wiązała z Southall, położonym z dala od gwarnych miast i splendoru wielkiego świata? Czemu robiła wszystko, by tu zostać? I czemu starania Andrei tak bardzo ją niepokoiły? Pytania, na które nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, przywołały na nowo wspomnienie spornej klauzuli w testamencie niezującego teścia. Czy gdyby jej nie umieścił, Lee poprosiłby ją o rękę? Tłumaczyła sobie, że teraz nie ma to już znaczenia, skoro stworzyli udany związek. Prawie równocześnie uświadomiła sobie, że zaczęła patrzeć na swoje małżeństwo przez różowe okulary, co stwarzało ryzyko nadmiernego zaangażowania emocjonalnego. Coraz bardziej martwiło ją, że Lee ożenił się z nią bez miłości.

- O czym myślisz? - wyrwał ją z zadumy głos.

Popatrzyła na niego spod zmarszczonych brwi.

- O niczym szczególnym - mruknęła.

- Znam sposoby, by wyciągnąć z ciebie prawdę
- zażartował, kładąc się obok niej na łóżku.

Rhiannon z kolei usiadła, podkurczyła kolana pod brodę.

- Co robimy jutro?

- Czy to wymówka w rodzaju bólu głowy?

- spytał, obrzuciwszy ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Dobry żart - odburknęła. - Zwłaszcza że rzeczywiście pęka mi głowa.

- Rozumiem. - Usiadł obok niej i zajrzał głęboko w oczy. - Dam ci aspirynę i pójdę spać na kozetkę.

- Źle mnie zrozumiałeś... - usiłowała protestować.

- Nie ma sprawy. Muszę przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych, a kozetka jest wygodna.

- Z tymi słowy wyszedł do łazienki, wrzuciwszy ramionami.

Następnego dnia obudziła się późno. Lee siedział na brzegu łóżka. Gdy otworzyła oczy, podał jej filiżankę herbaty. Przeciągnęła się, ziewnęła, dopiero potem przypomniała sobie wieczorną rozmowę.

- Już lepiej? - spytał, odstawiając filiżankę na nocną szafkę.

- Tak.

Lee wyczuł urazę w jej głosie.

- Wybacz, że wczoraj niezbyt uprzejmie cię potraktowałem. Przemawiała przeze mnie urażona duma. Sama stwierdziłaś, że mężczyźni bywają nadwrażliwi - tłumaczył łagodnym tonem.

- Kobiety też - przyznała z zażenowaniem. Na znak zgody ujęła jego dłoń.

- Oczywiście. Dziś wyjeżdżamy na Wyspy Nadziei. Piękny dzień na rejs, ale czy zdążysz się umyć, ubrać i zjeść śniadanie w pół godziny?

- Jasne, sam zobaczysz.

Rzeczywiście bardzo ciekawie spędzili dzień. Rhiannon włożyła jedwabną bluzeczkę w kolorze brzoskwini, powiewną, białą spódnicę i sandały z pasków, do tego perły. Związała włosy z tyłu głowy, zostawiając tylko kilka luźnych, skręconych w wilgotnym powietrzu pasemek. Po powrocie usiadła wygodnie na krześle, powiesiła srebrzystą torebkę na poręczu.

Lee wydał dziwny pomruk, następnie dopadł do niej w dwóch susach, chwytając ją za założone za głowę ręce. Miał na sobie lnianą koszulę i džinsy. Opalona skóra, nabrała jeszcze ciemniejszego koloru, w oczach błyszczały niebezpieczne iskierki.

- Co robisz? - spytała.

- Upolowałem sobie syrenę.

- W jakim celu? - dociekała, choć doskonale wiedziała.

Lee puścił jej ręce, zsunął ramiączka, rozpiął biustonosz i uwolnił piersi.

- Pragnąłem cię przez cały dzień. Straciłem apetyt na kolację, za to nabrałem na ciebie. Lepiej nie noś tych pereł w miejscach publicznych, bo wywołują we mnie niestosowne skojarzenia.

- Przecież zjadłeś wszystko - zaprotestowała z figlarnym uśmiechem, ujmując jego rękę.

- Automatycznie, ale myślałem tylko o tobie. Pewnie mi nie uwierzysz, ale chyba oszalałem na twoim punkcie, Rhiannon.

- Spróbuję ci jakoś pomóc - odpowiedziała poważnym tonem.

Ściągnęła bluzkę, rozpiętą spódnicę odrzuciła na bok kopnięciem. Stała przed nim, wyprostowana i dumna w sandałach na wysokich obcasach, majteczkach od kostiumu i perłach.

Lee wstrzymał oddech. Patrzył z zachwytem na wspaniałą figurę, kragłe piersi, wąską talię, płaski brzuch i cudownie długie nogi. Dosłownie pieścił ją tym spojrzeniem, aż przez jej ciało przeszedł rozkoszny dreszcz. Drżącymi z niecierpliwości rękami rozpięła mu koszulę, później spodnie. Lee pospiesznie zrzucił ubranie, wziął ją na ręce. Kiedy oplotła go nogami, razem wyruszyli w podróż ku szczęściu.

Leżeli później w łóżku, nasyceni, patrząc na księżyc za oknem. Lee pogładził ją po włosach, delikatnie pocałował w czubek nosa.

- Syreny naprawdę potrafią uwodzić.

- Wystarczy tylko wybrać odpowiedniego part-

nera, a potem można już swobodnie płynąć z prądem - odpowiedziała z łagodnym uśmiechem.

Gdy opuścili moskitierę, otulił ich mrok, jakby przebywali na bezludnej, odizolowanej od świata wyspie.

- Mam nadzieję, że to skutek siły wzajemnego przyciągania, a nie tylko magii tego miejsca - powiedział Lee, odgarniając jej kosmyk włosów z twarzy.

- Z pewnością bajkowa sceneria pobudza wyobraźnię, mój potężny piracie - zażartowała.

Lee nagle spowaźniał.

- Zaczęliśmy naszą znajomość w mniej romantycznych okolicznościach - przypomniał zupełnie nieoczekiwanie.

- Czemu nagle zaczęło cię to niepokoić? Osiągnęliśmy przecież pełną harmonię.

- I chciałbym, żeby tak pozostało, żeby codzienność nie odarła naszego małżeństwa z romantyzmu. Jutro wyjeżdżamy. Zabiorę cię na zachód. Zanim wrócimy do domu, zwiedzisz kilka farm. Tata na razie cię nie potrzebuje. Czuje się dobrze, ma przy sobie siostrę.

- Chyba sobie nie wyobrażasz, że widok krów zmieni mój stosunek do ciebie?

- To właśnie chciałem usłyszeć. A teraz pora spać. - Lee wstał, zgasił światło w holu, po czym wrócił do łóżka.

Następnego ranka Rhiannon obudziła się sama.

Wróciła myślami do wieczornej rozmowy. Czy dobrze odczytała intencje Lee? Czy przeoczyła jakąś aluzję? Czemu znów prześladował ją ten nieokreślony niepokój, jakby przecucie tajemnicy, której nie tylko nie potrafiła rozwiązać, ale nawet nazwać?

Na pomoście rybackim dostrzegła samotną postać. Swojego męża. Nie łowił ryb. Stał wyprostowany, z rękami w kieszeniach spodenek. Wyglądał na pogrążonego w głębokiej zadumie. Przemknęło jej przez głowę, że uciekł od niej w swój wewnętrzny świat, do którego bronił dostępu. Zaboląło ją, że znów się przed nią zamyka. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że przez te cztery dni, z godziny na godzinę coraz więcej dla niej znaczył, mimo że Wciąż stanowił zagadkę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tydzień później niepokój Rhiannon osłabł. Odbyli wiele podróży: helikopterem, samolotem, przemierzyli ciężarówkami setki kilometrów po zakurzonych drogach w buszu. Mieszkali w domach na farmach, łącznie z Jindalee, gdzie wychował się Lee. Rhiannon z zainteresowaniem obejrzała przegląd bydła, siedząc na końskim grzbiecie. Obozowali nawet pod gołym niebem, pod konarami rozłożystego drzewa. Rhiannon z dziecinną radością chłoneła nowe wrażenia. Poznała też zupełnie nieznaną wizerunek męża. W zakurzonych butach, dżinsach i pasterskim kapeluszu wykonywał te same czynności, co jego pracownicy. Zgodnie z panującymi wśród mieszkańców buszu, obyczajami, traktował ich jak przyjaciół, co nie umniejszało jego autorytetu. Ani przez chwilę nie ulegało wątpliwości, kto tu rządzi, kto gospodarskim okiem dostrzega najdrobniejszy szczegół, czyj bystry umysł pilnuje interesu.

Rhiannon często widywała Lee na koniu, z lejcamy w ręce, w butach z ostrogami. Zapierało jej

dech z wrażenia, gdy galopował po bezdrożach, trzaskając z bicza, nieodparcie męski, coraz bardziej upragniony. Miała do niego coraz większą słabość.

Dokądkolwiek pojechali, wszędzie witano ich z otwartymi ramionami. Wyglądało na to, że jego ludzie poczytują sobie za zaszczyt fakt, że przedstawił im młodą żonę. Potrafili docenić jej upodobanie do konnej jazdy. Imponowało im, że nie brzydziła się kurzu i końskiego potu, że potrafiła niemal z niczego przyrządzić posiłek, a w razie potrzeby zakasać rękawy i wyszorować kuchnię tak, że lśniła czystością.

- Podbiłaś szturmem wszystkie serca. Można by pomyśleć, że urodziłaś się na wsi - oznajmił pewnego popołudnia Lee z nieskrywaną dumą podczas konnej przejażdżki.

- Pozory mylą - roześmiała się, rada z komplementu.

Pewnego dnia pojechali nad piękne jezioro w pobliżu Jindalee, w którym Lee często kąpał się w dzieciństwie. Pod ubrania włożyli stroje kąpielowe. Z niecierpliwością wyczekiwali chwili ochłody po męczącej jeździe w nieznośnej spiekocie. Przemierzając połacie buszu, chłonęli z zachwytem grę wspaniałych barw: rudej ziemi, zielonej trawy i błękitu przeczystego nieba. Wreszcie Lee wstrzymał konia, zeskoczył z siodła. Rhiannon poszła w jego ślady. Aż jęknęła z zachwytem na

widok piaszczystej niecki, otoczonej prastarymi drzewami gumowymi. Stado białoróżowych ptaków poderwało się do lotu na widok przybyszów, po czym uspokojone, że nikt nie zrobi im krzywdy, wróciło na swoje gałęzie.

- Jak tu pięknie! - wykrzyknęła Rhiannon.
- Chodźmy do wody.

Pędem dopadli do jeziora, wzbijając w powietrze fontannę kropel.

- Jaka zimna! - krzyknęła Rhiannon z zaskoczeniem.

- Pochodzi z podziemnego źródła - wyjaśnił Lee. - Widzisz tę linę? - spytał, wskazując jeden z konarów. - Sam ją tu powiesiłem. Wchodziliśmy na drzewo, bujaliśmy się na niej, a potem skakaliśmy do wody razem z Mattem i dziećmi pracowników. Niewykluczone, że teraz korzystają z niej kolejne pokolenia, ale wygląda na to, że trzeba ją wymienić. Jest już stara i przetarta.

- Doskonały pomysł. A więc już jako mały chłopiec byłeś. Żadnym przygód śmiałkiem?

- Raczej tak. A ty jakim byłeś dzieckiem?

- Podobno nieznośnym - wyznała z pewnym zakłopotaniem.

- Nieważne. Grunt, że wyrosłaś na uroczą pannienkę - szepnął, obejmując ją ramionami. - A jako mężatka potrafisz być jeszcze miłsza. - Przytulił ją mocno do siebie.

Ledwie zdążyła opleść nogami jego biodra, gdy usłyszeli ryk na drugim brzegu. Odwrócili głowę. Ujrzeni stojącą po przeciwnej stronie krowę, która obserwowała ich poczynania z wielkim zainteresowaniem.

- Wielkie nieba! Święta krowa! - wykrzyknęła Rhiannon. - Myślałam, że jesteśmy sami.

- Przeszkadza ci taki świadek?

- Ależ oczywiście.

Lee wybuchnął śmiechem, pocałował ją, wziął za rękę i sprowadził z plaży. Wytarli się, ubrali, po czym Lee wyciągnął z sakwy przy siodle termos, dwa kubki i pojemnik na żywność. Oganiając się od much, usiedli na ręczniku. Pili herbatę i gawędzili. Krowa po zaspokojeniu pragnienia odeszła w nieznanym kierunku.

- Czy kiedykolwiek czułeś się rozdarty pomiędzy wiejskim a miejskim życiem? - spytała Rhiannon.

- Tak. Chociaż Southall to nie miasto, zawsze ciągnęło mnie na farmę. Spędzałem tu kilka miesięcy w roku.

- Wiesz, od samego początku przeczuwałam, że nie spędzasz życia wyłącznie za biurkiem - wyznała Rhiannon. - Nawiasem mówiąc, uważam, że dzieciństwo na wsi jest o wiele ciekawsze niż w mieście.

- Rzecz gustu. Wychowana w buszu młodzież przeważnie tęskni do wielkiego świata. Ja miałem

sporo szczęścia, zasmakowałem jednego i drugiego. Skończyłem szkołę z internatem na Żłotym Wybrzeżu, następnie uniwersytet w Brisbane. No a potem zamieszkałem w Southall. Gdzie chciała-byś wychowywać nasze dzieci, Rhiannon? - zapytał na koniec.

Ręka z ciasteczką zamarła w drodze do ust Rhiannon.

- Nie myślałam o tym - przyznała, zaskoczona.
- Dlaczego?

Rhiannon upiła łyk herbaty, jakby chciała zyskać na czasie.

- Jeszcze za wcześnie. Jesteśmy małżeństwem niewiele ponad tydzień.

- Czy też dlatego, że poroniłaś?

- Lekarze nie widzieli przeciwwskazań do ponownego zajścia w ciążę. Wytłumaczyli mi, że poronienia u młodych kobiet nie należą do rzadkości.

- Ale uraz psychiczny pozostał? - dopytywał się Lee łagodnym tonem.

- Tak, chociaż trudno mi wytłumaczyć dlaczego. Po porzuceniu przez... ojca dziecka właściwie powinnam poczuć ulgę, że nie zostanę samotną matką.

- Bardzo go kochałaś?

- Wtedy myślałam, że tak. Z perspektywy czasu patrzę na te sprawy inaczej, ale wtedy cały świat zawalił się dla mnie w jednej chwili. Wyobraź

sobie, że właśnie poronienie załamało mnie do reszty - wyznała ze łzami w oczach. - Nie myślałam o tym, że straciłam jego dziecko, tylko własne. Czułam się rozpaczliwie samotna, opuszczona przez wszystkich - dodała, ocierając łzy.

Lee usiadł i otoczył ją ramionami. Tulił ją bez słowa, z czułością i troską. Ten ciepły, czuły gest przyniósł jej ukojenie. Gdy wreszcie ochłonęła, uniosła głowę.

- Ale to już przeszłość. Było, minęło - powiedziała już spokojnie.

- Racja. - Odgarnął kosmyk włosów z jej czoła i zajrzał głęboko w oczy. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię podziwiam?

Rhiannon tylko otworzyła usta ze zdumienia.

- To szczerza prawda. Proponuję jutro wrócić do domu. Czeka mnie kilka ważnych spotkań.

W Southall czekała ich niespodzianka. Kiedy wrócili wieczorem, zastali w oknach zapalone światła. Lee przypuszczał, że Matt i Mary wpadli z wizytą. Otworzył drzwi, wstawił bagaże do holu.

- Chyba powinienem cię przenieść przez próg - przypomniał sobie poniewczasie, gdy Rhiannon już stała w środku.

- Mogę wyjść z powrotem na zewnątrz - zażartowała.

W tym momencie usłyszeli kroki. Nie należały jednak ani do Marta, ani do Mary. Po chwili ujrzeli

Andreę. Szła ku nim kocim krokiem, w białych spodniach-biodrówkach i pomarańczowej bluzeczce z połyskliwego jedwabiu. Ciemne, rozpuszczone włosy spływały na plecy niczym lśniący wodospad.

- Andrea? - wykrztusił Lee z niedowierzaniem.

- We własnej osobie - odrzekła tym swoim niskim, uwodzicielskim głosem. - Właśnie się zastanawiałam, kiedy wrócicie. Moje gratulacje, Rhiannon. Myślę, że to dobra okazja do wypicia lampki szampana.

Zapadła kłopotliwa cisza. Pierwsza przerwała ją Rhiannon.

- Dziękuję, z przyjemnością - odpowiedziała, podeszła bliżej i wyciągnęła rękę.

Andrea po chwili wahania przelotnie ucisnęła podaną dłoń. Obrzuciła ją przy tym krytycznym spojrzeniem spod długich, ciemnych rzęs. O dziwo, nie sprawiła Rhiannon w zakłopotanie, mimo że nie wyglądała zbyt elegancko w dzinsach, drelichowej kurtce i butach z cholewami. Chociaż nie oczekiwała ciepłego przyjęcia, zmroziła ją natomiast wrogość, która wprost promieniowała z pięknej twarzy. Andrea odwróciła oczy i wyrecytowała lodowatym tonem:

- Witaj w rodzinie.

- Co robisz w Southall? - spytał Lee. Jego głos zdradzał napięcie.

- Nie pamiętasz, że zamówiłam mszę w rocznicę śmierci twojego ojca? - odparła Andrea z leniwym uśmiechem.

- Tak, ale to dopiero za miesiąc.

- Przesunęłam termin. Nabożeństwo zostanie odprawione za dwa tygodnie w tutejszym kościele, toteż wołę osobiście dopilnować wszystkiego, zwłaszcza że po nabożeństwie wydaję przyjęcie dla zaproszonych gości. Chyba nie masz nic przeciwko temu. W końcu byłam jego żoną, czy ci się to podoba, czy nie - tłumaczyła sztucznie łagodnym tonem.

Rhiannon słyszała, jak Lee z trudem chwyta powietrze. Uznała, że najwyższa pora interweniować.

- Oczywiście, że jesteś tu mile widziana, Andreo. Czuj się jak u siebie w domu. Chętnie wypijemy z tobą toast, ale pozwól, że najpierw zmienimy ubrania. Dopiero wróciliśmy z dalekiej podróży - wyjaśniła swobodnym tonem.

Kiedy zamknęli za sobą drzwi wydzielonego skrzydła rezydencji, Lee porwał żonę w objęcia.

- Dobra robota - pochwalił.

- Nie sądzę! Ponieważ odegrałam rolę gospodyni, pewnie zrobiłam sobie wroga na całe życie.

- Nie przejmuj się nią. Zionęłaby nienawiścią do każdej innej osoby, która udaremniłaby jej plany przejścia Southall. Na szczęście trafiła na

godną przeciwniczkę. A teraz posłuchaj. - Od-sunął Rhiannon od siebie na odległość ramienia, zaglądając głęboko w oczy. - Na razie zamieszkały w moim skrzydle budynku. Kazałem podczas naszej nieobecności wyremontować niektóre pomieszczenia i unowocześnić łazienki. Ponieważ prace jeszcze nie dobiegły końca, możesz zaprojektować wykończenie wnętrza według swojego gustu.

- Dziękuję. To miło z twojej strony, chociaż równie dobrze czułabym się z tobą w namiocie - odparła z uśmiechem.

- Na biwak też cię kiedyś zabiorę, ale na razie weź prysznic, bo dziś nie ominie cię rola pani domu. - Pocałował ją delikatnie.

Ani czuły uśmiech, ani żart nie zmyliły jednak Rhiannon.

- Niełatwo ci, prawda? - zauważyła.

- Masz rację - westchnął ciężko. - Bardzo kochałem ojca. Mimo niechęci do Andrei zdaję sobie sprawę, że osłodziła mu najtrudniejsze chwile. Dlatego za jego życia nie występowałem przeciwko niej, żeby nie burzyć spokoju w rodzinie. Ale teraz jej tu nie chcę.

- Skąd pewność, że wyszła za niego wyłącznie dla majątku?

- Ma dopiero trzydzieści dwa lata, a on skończyłby w tym roku sześćdziesiąt. Jeśli to cię nie przekonuje, dodam jeszcze, że wzięli ślub po

kryjomu, chociaż nawet gdyby nas uprzedzili, pewnie ojciec nie usłuchałby naszych ostrzeżeń.

- Pewnie nie będziesz zachwycony, ale opracowałam własną, odmienną od waszej strategię postępowania.

- Jaką? - spytał, nie odrywając uważnego spojrzenia od jej twarzy.

- Będę wobec niej bardzo miła. Dołożę wszelkich starań, żeby uroczystości ku czci twego ojca przebiegły w przyjaznej atmosferze.

- Zgoda, ale uważaj na siebie.

- Nic mi nie może zrobić.

- Owszem, może. - Przerwał, wziął głęboki oddech. Rysy mu stężały. - Zanim za niego wyszła, byliśmy kochankami - wyznał.

Rhiannon zamarła z otwartymi ustami. Pokój zawirował wokół niej. Zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, wszystko było na swoim miejscu: wspaniałe malowidła na ścianach, komplet szachów na stoliku... przybył tylko jeden element: zagubiona część układanki, której tak długo nie potrafiła odnaleźć. Nie pojmowała, czemu sama na to nie wpadła w momencie, kiedy Lee oświadczył, że nie chce więcej oglądać Andrei.

- Ojciec o niczym nie wiedział, Matt także - dodał Lee. - Mieszkała w Sydney. Spotykaliśmy się od czasu do czasu, ale myślałem o niej poważnie. Chciałem, by zamieszkała ze mną, przejęła mój sposób życia, doglądała wraz ze mną hodowli.

Innej ewentualności nie dopuszczałem. Zerwaliśmy ze sobą, kiedy pojęła, że mnie nie przekabaci, że nie dam sobą manipulować. Kiedy wyjechałem na dwa miesiące w interesach do Argentyny, poślubiła mojego ojca. Owinęła go sobie wokół małego palca i nakłoniła do przeprowadzki do Francji.

- Dlaczego mi tego wcześniej nie powiedziałaś? Czy w ogóle zamierzałaś to zrobić?

- Cóż, właściwie wiedziałaś o wszystkim od początku. Jedyna różnica polega na tym, że poznałaś imię osoby, która zawiodła moje zaufanie.

- Nieprawda. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że będę musiała patrzeć w oczy twojej dawnej miłości - zaprotestowała gwałtownie. - Chyba przewidziałaś, że jeśli prawda wyjdzie na jaw, nie będzie mi miło.

- Prawdę mówiąc, wolałbym nie wyjawiać jej nikomu. Widok Andrei przypomina mi najgorsze chwile w życiu, prześladowuje jak zmora. Nigdy nie przeszedłem do porządku dziennego nad tym, że zdradziła mnie z moim ojcem. Dlatego... - Przerwał. - Właśnie dlatego długo nie byłem w stanie naświetlić ci całej sytuacji. Odkładałem tę decyzję do chwili, kiedy zyskam pewność, że nikt i nic nas nie rozdzieli. Dopiero kiedy postanowiłaś potraktować moją macochę jak domownika, uznałem, że nadeszła godzina szczerości. Obawiałem się, że zechce cię wykorzystać jako narzędzie zemsty.

- Podejrzewałeś, że wyjawi mi wasz sekret, żeby nas poróżnić?

- Trudno przewidzieć, co taka intrygantka zrobi. Już próbowała mnie odzyskać.

- W jaki sposób? - wykrztusiła Rhiannon blada jak ściana.

- Podejrzewam, że wywalczyła sobie prawo do zamieszkania w Southall po to, żeby po śmierci taty na nowo mnie omotać. Oczywiście nie dałem jej szansy - zapewnił Lee. - Ale nie wątpię, że zrobi wszystko, by zniszczyć nasz związek. Nie pozwolę na to. Pamiętaj, że jej intrygi nie zmienią mojego stosunku do ciebie.

Rhiannon długo patrzyła na niego w milczeniu. Nagle zadzwonił telefon. Lee z niechęcią sięgnął po słuchawkę, nie odrywając wzroku od twarzy żony.

- Co tam znowu? - warknął.

Rhiannon nie słyszała głosu rozmówcy, ale dostrzegła przygnębienie męża.

- Matt zawiadomił mnie, że Mary zabrano do szpitala - wyjaśnił po zakończeniu rozmowy.
- Złapała jakiegoś wirusa, którego lekarze nie potrafią zidentyfikować. Matt chciałby być przy niej, ale ma jutro ważną konferencję w Melbourne. Prosił, żebym go zastąpił. Nikt inny nie może tego zrobić. Andrea właśnie do niej jedzie. Ja też muszę wyjechać dziś wieczorem, żeby złapać pierwszy poranny samolot.

- Mam nadzieję, że mnie rozumiesz, tylko nie wiem czemu nie chcesz mi towarzyszyć - powiedział później, podczas pakowania.

- Nie zapominaj, że nie widziałam taty prawie od dwóch tygodni. Najwyższa pora wreszcie go odwiedzić.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem. Nie pozwolisz, żeby Andrea zrujnowała nasze małżeństwo. Przynajmniej mi, że nie popełnisz żadnego głupstwa w czasie mojej nieobecności.

- Nie zabrzmiało to jak komplement - wspominała Rhiannon.

- Raczej nie, ale nie miej mi tego za złe. Będę 0 tobie myślał i tęsknił. W trudnych chwilach wspomnij nasze cudowne wakacje w Blopmfield. - Wyjął jej z ręki stertę koszul, odrzucił na łóżko, po czym porwał ją w objęcia.

Z początku Rhiannon nie oddawała pocałunków. Lecz Lee zdążył już poznać jej czułe punkty. Nie przerwał całowania. Pieścił ją tak, jak najbardziej lubiła, niemalże mdlała z rozkoszy i z rozpaczy, że zostawia ją samą. Lee przez chwilę obserwował pulsującą tętnicę na jej szyi.

- Nie zmienisz o mnie zdania?

- Nie. Ja również będę za tobą tęsknić.

- To właśnie chciałem usłyszeć - odparł z nagłym błyskiem w oku, którego znaczenia nie potrafiła odgadnąć. - Dbaj o siebie.

Na koniec udzielił jej paru praktycznych wska-

zówek. Poradził jej, na której klaczy jeździć. Zaproponował przy tym z szatańskim uśmiechem, by udzieliła Poppy paru lekcji dobrego wychowania. Pokazał, jak odbierać pocztę elektroniczną na komputerze w bibliotece. Na koniec wręczył jej kluczyki od niebieskiego mercedesa i nowiutką kartę kredytową na nazwisko Rhiannon Richardson. Gdy wymienił gigantyczną sumę, na którą opiewała, zaniemówiła. Po chwili wahania zgodziła się na wszystko, choć odnosiła wrażenie, że mąż kupuje sobie jej lojalność. Uznała jednak, że nie pora na dyskusję, tym bardziej że wychodząc za niego, zawarła coś w rodzaju układu handlowego. Poza tym zdawała sobie sprawę, że pod wpływem wstrząsu straciła zdolność obiektywnej oceny sytuacji.

Gdy zamknęła za nim drzwi, w wielkim, pustym domu zapanowała złowroga cisza. Rhiannon posmutniała. Dopiero myśl, że Cliff z Christy mieszkają zaledwie kilkaset metrów dalej, w domku ogrodnika, nieco ją pokrzepiła. Wzięła prysznic, zrobiła sobie lekką kolację, po czym położyła się do łóżka. Lecz sen nie przychodził. Doskwierała jej samotność. Mimo że zmieniono pościel, wspomnienia wspólnych nocy nie zbladły. Pomyślała, że Lee wcześniej czy później przejdzie do porządku dziennego nad dawnym zawodem miłosnym, o ile nie czuje do Andrei nic prócz żalu. Bo jeśli wbrew jego zapewnieniom namiętność nie wygaś-

ła, jeśli to o niej myślał podczas samotnego spaceru w Bloomfield, Rhiannon nie miała szans, że kiedykolwiek zdobędzie serce Lee.

Scandalous

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lee zadzwonił do niej następnego ranka z zaskakującą prośbą. Poinformował ją, że u Mary nastąpiła poprawa, ale ponieważ nie postawiono jeszcze diagnozy, Matt i Andrea zostają przy niej w szpitalu. W związku z tym poprosił ją, żeby przygotowała dom na przyjęcie gości po nabożeństwie.

- Dlaczego ja? -jęknęła.

- Wybacz, ale nie wyobrażam sobie nikogo innego w tej roli. Ty zrobisz to najlepiej. Ponieważ Andrea zdążyła już wszystkich zawiadomić, nie można zmienić terminu. Ze względu na pamięć ojca chciałbym nadać godną oprawę uroczystości. Przybędzie kilka ważnych osobistości, łącznie z premierem jednego ze stanów.

- Co na to Andrea?

- Jak ją znam, bez oporów zrzuci na ciebie najcięższe obowiązki. Lecz mnie zależy na tym, żebyś ty pełniła honory gospodyni. To twój dom. Nasz dom. Zamów gotowe dania.

- Zrobię, co w mojej mocy. Nawet dobrze, że będę miała jakieś zajęcie. Co słyszeć w Melbourne?

- Leje jak z cebra, jak w dniu, kiedy cię poznałem. A co u ciebie?
- Nie najgorzej.
- Co masz na sobie?
- Dżinsy i sweter. Jest dosyć chłodno.
- A perły?
- Nie.
- Szkoda, bo wróciłbym do domu pierwszym samolotem.

Rhiannon roześmiała się cicho. Pogawędzili jeszcze trochę, póki nie zapowiedziano jego lotu.

Jeszcze tego samego ranka Rhiannon pojechała odwiedzić ojca w szpitalu. Postanowiła nie dać po sobie poznać, że przez całą noc dręczyły ją rozterki. Wołała przedstawić jemu i cioci wizerunek szczęśliwej młodej mężatki, żeby ich nie martwić. Ku jej zaskoczeniu wizyta przyniosła jej ukojenie. Największą radość sprawił jej widok ojca w dobrej kondycji fizycznej i psychicznej. Pozwolono mu już usiąść na wózku inwalidzkim. Mimo że czekała go intensywna rehabilitacja, zanim będzie mógł stanąć na własnych nogach, zastała go w doskonałym nastroju. Gawędził swobodnie, grał na gitarze, urządzał nawet koncerty dla innych pacjentów.

Dwa dni później, w piękne słoneczne południe, podczas gdy Lee nadał przebywał w Melbourne, Andrea przyszła na lunch. Dzień wcześniej zaanonsowała swoją wizytę przez telefon. Przyniosła

butelkę szampana, zapakowaną w złotą folię ze wstążką, i orchideę w takim samym opakowaniu. Rhiannon wprowadziła gościa na werandę, posadziła przy stole nakrytym eleganckim obrusem, zastawionym porcelaną z czarno-złotymi paskami na brzegach, malowaną w różyczki. W srebrnym wazonie stało kilka żywych róż, również jasno-różowych. Na dworze świeciło słońce, w gałęziach śpiewały ptaki, ważki szybowały w powietrzu.

- Jak się czuje Mary? - spytała Rhiannon po wymianie powitalnych grzeczności.

- Jutro ją wypisują. Nie wykryto żadnej infekcji, która mogłaby zaszkodzić dziecku. Prawdopodobnie po prostu złapała grype.

- Całe szczęście. - Rhiannon wyjęła butelkę z wiaderka z lodem, otworzyła i napełniła dwa kieliszki.

Sharon przyniosła przyrządzoną przez Rhiannon wieprzowinę z jabłkami w sosie śmietanowym.

- Jeśli zależy ci na czynnym udziale w przygotowaniach do przyjęcia po mszy, nie mam nic przeciwko temu - zagadnęła Rhiannon, gdy zostały same.

- Niespecjalnie. Nikt nie zadba równie dobrze jak ty o właściwą oprawę uroczystości. Dowody twoich umiejętności leżą przede mną na talerzu - dodała Andrea, unosząc sztucce. - Przyszłam przede wszystkim dlatego, że chciałabym cię lepiej poznać... o ile nie mierzi cię towarzystwo straszliwej macochy - dodała po krótkim namyśle.

Rhiannon rozważała przez chwilę jej słowa. W milczeniu układała dyplomatyczną odpowiedź.

- W sprawach damsko-męskich łatwo o niesprawiedliwą ocenę, dlatego nie należy wydawać pochopnych opinii - zaczęła ostrożnie. - Wzajemne stosunki pomiędzy partnerami często wyglądają dla postronnego obserwatora zupełnie inaczej niż w rzeczywistości. Mężczyźni znoszą utratę bliskiej osoby gorzej niż kobiety, dlatego po śmierci żony często szukają nowej. Mój ojciec należy do wyjątków. Zresztą nie chcę wnikać, co zaszło pomiędzy tobą a ojcem Lee. To nie moja sprawa - zakończyła, wzruszając ramionami.

Andrea nie odrywała wzroku od twarzy Rhiannon, jakby sama próbowała ocenić przeszłość z perspektywy czasu.

- Czy wyobrażasz sobie, co czuje człowiek, którego traktują jak wyrzutka? Oskarżano mnie, że wpędziłam Rossa do grobu.

- Słowo honoru, nigdy nie usłyszałam tego rodzaju zarzutów! - zapewniła Rhiannon żarliwie.

- Nawet jeśli nie padły, Lee był o tym przekonany, mimo że Ross przeszedł w dzieciństwie chorobę reumatyczną. Wielokrotnie powtarzał, że nie liczył na to, że dożyje pięćdziesiątki, nie mówiąc o sześćdziesiątce.

- Mimo wszystko mój mąż pozwolił ci zamówić mszę za ojca i wydać przyjęcie - przypomniała Rhiannon.

- Nie mógł mnie powstrzymać. - Ciemne oczy Andrei sypały iskry. - Wiem, że będzie usiłował mnie wyrzucić, ledwie goście wyjadą, ale nie zamierzam mu na to pozwolić. Chcę, żebyś przekazała mu moje słowa.

- Dlaczego ja?

- Nie miałam wielkiego wyboru. Prócz ciebie pozostał tylko Matt. Nie odnosi się do mnie tak wrogo jak Lee, który na mój widok wychodzi z pokoju. Ilekroć go widzę, czuję, że walę głową w mur.

Rhiannon już otwierała usta, żeby potwierdzić, że czasami sama doświadcza przy mężu takiego odczucia, jakby stała przed murem zamkniętej twierdzy, ale po namyśle zrezygnowała. Przypomniała sobie pierwszą imprezę w Southall. Dlaczego Lee nalegał, żeby uczestniczyła w niej w charakterze gościa? Czy podjął tę decyzję dopiero wtedy, gdy dowiedział się, że Andrea również przybędzie? Doszła do wniosku, że niespecjalnie zależało mu na jej towarzyskich umiejętnościach. Miała stanowić raczej przeciwwagę dla macochy.

- Sądzę, że źle wybrałaś. Matt lepiej zna stosunki rodzinne. Ja dopiero weszłam do rodziny - przypomniała, starannie ważąc każde słowo.

- To prawda, ale sądę, że masz jakiś wpływ na Lee. Dlatego chciałabym, żeby to od ciebie usłyszał, że nie wolno mu mnie ignorować ani wypędzać.

- Ależ...

- Towarzyszyłam jego ojcu w ostatnich latach życia - przerwała Andrea. - Dzięki mnie przeżył je szczęśliwie, cokolwiek Lee myśli o naszym związku. Dlatego należy mi się miejsce w tym domu.

Rhiannon aż zamrugała. Andrea odsunęła prawie pełny talerz.

- Wybacz, Rhiannon, to jest pyszne, ale nie dopisuje mi apetyt. Przykro mi, że cię tym obarczam, ale Lee nie pozostawił mi wyboru. Bądź uprzejma przekazać mu, że jeśli źle mnie potraktuje, wywieszę na widok publiczny parę brudnych prześcieradeł. Zrozumie, co mam na myśli.

- Pomyślę o tym, ale nie podejmę żadnych kroków przed przyjęciem. Tobie również odradzam jakiegokolwiek działania do tego czasu - odparła zdecydowanym tonem.

Andrea uniosła wysoko brwi.

- Przyjmij do wiadomości, że dałam Rossowi szczęście. Nie kryłam, że wyszłam za niego z zemsty, zataiłam tylko na kim. Nie przeszkadzało mu, że uwielbiam światowe życie. Nie łudziłam go, że zostanę idealną panią domu. Zaakceptował mnie taką, jaka jestem, okazywał troskę i czułość...

- Przerwała, żeby otrzeć kilka łez. - Po dramacie, jaki przeżyłam wcześniej, doznałam przy nim ukojenia. Możesz mi wierzyć albo nie, ale to prawda - dodała schrypniętym głosem. Wyciągnęła chusteczkę z kieszeni i wytarła nos.

Prawda czy popis aktorski? - rozważała w myślach Rhiannon. Raczej to drugie.

Andrea wyszła. Na szczęście, bo wkrótce wrócił Lee, zmęczony i przeziębiony. Rhiannon natychmiast spostrzegła, że źle wygląda.

- Nie spodziewałam się ciebie! - wykrzyknęła na powitanie. - Co ci jest?

- Nie wiem. Czuję się wyczerpany. Pewnie nie zdajesz sobie sprawy, jak źle znoszę rozłąkę z tobą.

Na widok błękitnych oczu męża serce Rhiannon przyspieszyło. Zapomniała o całym świecie. Ujęła Lee za rękę i zaprowadziła do bocznego skrzydła budynku. Ledwie zamknął drzwi, rozluźnił krawat i porwał ją w ramiona bez słowa. Po chwili zaprowadził go do łóżka.

- Czy myślisz o tym samym co ja? - zażartował, już nieco odprężony.

Rhiannon potwierdziła jego domysły jedynie czułym uśmiechem. Powoli, w naturalny sposób, bez żadnego aktorstwa zaczęła zdejmować ubranie. Gdy została tylko w czarnej bieliźnie i perłach, nie wytrzymał napięcia. Zdarł z niej resztki odzieży, gwałtownym ruchem przyciągnął ku sobie. Nie tracił czasu na czułe słówka, pieszczoty, pocałunki czy jakkolwiek grę wstępną. Stęskniony, spragniony, połączył się z nią natychmiast. Później wielokrotnie przeproszał, że nie pomyślał o niej, że dążył jedynie do zaspokojenia swej żądz.

- Przyjdzie na to czas - uspokajała łagodnie.
- Na razie potrzebowałeś ukojenia.

- Sam nie wiem, co się ze mną dzieje - tłumaczył się, nadal mocno zawstydzony swą gwałtownością. - Co u taty?

- Wszystko w porządku. - Rhiannon przedstawiła przebieg przygotowań do rodzinnej uroczystości. W pewnym momencie z przerażeniem zerknęła na zegar. Chciała wstać, ale nie wypuścił jej z objęć, zasypał czułościami i komplementami. Musiała wykorzystać chwilę nieuwagi, by wyśliznąć się z łóżka.

- Za dwadzieścia minut mam spotkanie z dostawcami - wyjaśniła. - A tobie przyda się trochę odpoczynku.

- No cóż, siła wyższa, inaczej byś mi nie umknęła.

- Pewnie nie, ale nie myśl sobie, że zawsze będę ci ulegać. - Pomachała mu ręką i weszła pod prysznic.

Gdy opuściła łazienkę, Lee już zdążył zasnąć. Rhiannon po cichu zebrała swoje ubrania, następnie wyszła z pokoju na palcach. Lee spał twardo, aż do następnego popołudnia, co ją bardzo zaniepokoiło. Rozważała, czy nie wezwać lekarza, ale kiedy ponownie do niego zajrzała, otworzył oczy. Wyglądał znacznie lepiej. Gdy usiadła przy nim na łóżku, spytał, co słychać w domu.

- Nic szczególnego. Przygotowania do uroczy-

stości idą pełną parą. Tyle że faks wypływa coraz to nowe pisma, a skrzynka odbiorcza w twoim komputerze jest przepełniona wiadomościami.

- Pewnie od George'a. Rozważamy założenie farmy. Jak zwykle roztrząsa każdą ofertę w najdrobniejszych szczegółach. - Wstał i włożył bluzę od dresu. - Chodź, pokażę ci pewien pokój.

- Jaki?

- Zobaczysz.

Zaprowadził ją do niedużego, przytulnego gabinetu swojej matki z widokiem na ogród różany. Jego umeblowanie stanowiły biurko z ruchomym blatem i obita perkalem sofa. Piękne obrazy i fotografie w srebrnych ramach na ścianach tworzyły ciepłą, domową atmosferę.

- Mama nazywała go „centrum dowodzenia”. Za tym biurkiem podejmowała wszelkie decyzje zarówno w interesach, jak i w sprawach domowych. Możesz z niego korzystać. Masz tu telefon wewnętrzny i zewnętrzny, zainstalujemy też komputer. Teraz to twoje królestwo, pani Richardson - dodał z kamienną powagą.

- Dziękuję - wyszeptała nieco oszołomiona.

Lee odsunął górną szufladę. Wyciągnął z niej papeterię z monogramem.

- Margaret Richardson była prawdziwą damą - powiedział półgłosem.

- Mężczyźni gorzej znoszą utratę bliskiej osoby niż kobiety - stwierdziła Rhiannon. - Może już

najwyższa pora zakopać topór wojenny z Andrea?

- zasugerowała nieśmiało.

- Być może - mruknął, wzruszając ramionami.

- Musisz sobie zamówić materiały piśmienne z własnym nazwiskiem. To już wszystko. Spotkajmy się przy basenie o wpół do szóstej.

Rhiannon wyraziła zgodę, ale nie wyszła za nim z pokoju. Usiadła na obrotowym fotelu za biurkiem, pogrążona w rozmyślaniach. Nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić porozumienie pomiędzy mężem a jego macochą. Nawet gdyby osiągnęli rozejm, czy Andrea rzeczywiście zasługiwała na miejsce w rodzinnej rezydencji?

Po dłuższym zastanowieniu doszła do wniosku, że Andrea już nie może im w żaden sposób zaszkodzić. Skupiła myśli na przygotowaniach do rodzinnego zjazdu. Czekają ją mnóstwo pracy, ponieważ bardzo zależało jej na nadaniu uroczystości odpowiedniej oprawy.

Zapiski Margaret Richardson zawierały wszystkie potrzebne adresy. Dzięki nim Rhiannon bez trudu znalazła ekipę sprząającą, która umyła okna, wyszorowała podłogi, wytrzepała dywany i tapicerkę, wyczyściła srebra. Zatrudniła też fachowców, którzy dokonali drobnych napraw. Po zakończeniu prac porządkowych Southall lśniło czystością.

Ostatnie dni przed nabożeństwem za duszę Rossa Richardsona upływały Rhiannon jakby w przyspie-

szonym tempie. Coraz szerszy strumień napływających gości pomógł jej skupić uwagę na bieżących wydarzeniach. Krewni i znajomi zapełnili wszystkie osiem sypialni. Dom tętnił życiem od rana do wieczora, co znacznie poprawiło jej nastrój, ale pod koniec dnia padała z nóg. Jej wyczerpanie nie umknęło uwagi Lee.

- Wytrzymaj jeszcze trochę. Gdy wszyscy wyjadą, urządzimy sobie wakacje gdzieś daleko stąd, na odludnym wybrzeżu - pocieszał. - Nie wiem, jak ci dziękować za wszystko, co dla mnie robisz.

- Wystarczy, jeśli mnie mocno przytulisz. Chciałabym usnąć w twoich objęciach.

- Załatwione. Kolorowych snów.

Msza została odprawiona w pięknie udekorowanym kwiatami kościele. Przemówienie Lee poruszyło wszystkich obecnych. Mówił o zmarłym z werwą, z humorem, na nowo przywołał jego postać w pamięci zgromadzonych. Końcowe akordy ostatniej melodii nawiązywały do „didgeridoo”, tradycyjnej muzyki mieszkańców australijskiego buszu. Nastrojowe dźwięki poruszyły czułą strunę w duszy Rhiannon.

Ukradkiem zerknęła na Andreę, ubraną w odcienie kremu i granatu, we wspaniałym kapeluszu z szerokim rondem, lecz nie odczytała z jej twarzy żadnych uczuć.

Po zakończeniu nabożeństwa Andrea ruszyła

jako pierwsza ku wyjściu. Za nią szli Rhiannon z Lee, dalej Matt z Mary. Na zewnątrz nastąpiła wzajemna prezentacja. Trwała dość długo, ponieważ niewielu przybyłych wiedziało, że Lee się ożenił. Znany polityk z uznaniem patrzył na Rhiannon, ubraną w kostium z grafitowego jedwabiu, perły i słomkowy toczek.

- Zawsze wierzyłem w twój dobry gust, Lee, a jednak mnie zaskoczyłeś. Wzięłeś sobie dziewczynę apetyczną jak świeża brzoskwinia - pochwalił.

Lee był dumny jak paw.

Zachowanie pogodnego wyrazu twarzy przychodziło Rhiannon z coraz większym trudem. Zbyt długo odgrywała przed własnym mężem smutną komedię. Zataiła przed nim wizytę Andrei. Widok dwojga ludzi, którzy niegdyś się kochali, przypominał jej boleśnie, że zawsze pozostanie odpowiednią, ale nie ukochaną żoną.

Po zakończeniu powitalnych formalności Lee zawiózł ją swoim autem do Southall. Zaraz po powrocie zaprowadził ją do baru i nalał kieliszek brandy.

- A teraz powiedz, co cię trapi - powiedział.

Rhiannon zacisnęła powieki. Uznała, że ani czas, ani miejsce nie sprzyjają wynurzeniom natury osobistej. Odłożyła je na później. Na razie dokładała wszelkich starań, żeby go uspokoić.

- Nic takiego. To tylko zmęczenie. Ostatnio

ciężko pracowałam. Poza tym msza za zmarłego przywołała wspomnienia o śmierci mamy - dodała na widok jego niedowierzającego spojrzenia. W gruncie rzeczy nie kłamała, tyle że nie zdradziła najważniejszej przyczyny przygnębienia.

- Przepraszam, ostatnio myślałem tylko o sobie - przyznał Lee ze wstydem. Obserwując bacznie twarz żony, dostrzegł zmarszczki na gładkiej zwykle twarzączce. - Ale obiecuję...

- Nie martw się o mnie, dam sobie radę - zapewniła. Opróżniła kieliszek, odstawiła go na barek i obdarzyła męża uśmiechem. - A teraz chodźmy do gości.

Ostatnią kroplą, która przepełniła czarę goryczy, okazało się spojrzenie. Jedno zwykłe spojrzenie, od którego serce Rhiannon omal nie pękło.

Przy suto zastawionych stołach, wśród obfitości jadła i napojów, odprężona, uradowana wysłuchiwała niezliczonych komplementów i gratulacji. Gdyby nie wyszła do łazienki, w jej głowie nie zadźwięczałby nawet najcichszy dzwonek alarmowy. Lecz na własne nieszczęście spotkała ich w przejściu do bocznego skrzydła. Stali wpatrzeni w siebie nawzajem w tak wielkim napięciu, że sama ich postawa zdradzała tęsknotę i pragnienie. Lee wprost pożerał wzrokiem Andreeę. Bez kapelusza wyglądała jeszcze piękniej niż podczas nabożeństwa. Ciemne włosy spływały lśniąca strugą wzdłuż pleców. Uniosła wysoko głowę. Twarz jak

zwykle nie wyrażała żadnych uczuć, lecz zaciśnięte pięści opowiadały zupełnie inną historię.

Rhiannon zaparło dech. Zamarła w bezruchu. Ból rozsadał jej serce. Lee nigdy na nią nie spojrzał w taki sposób, jakby zależało od tego jego życie. Nie dostrzegli jej obecności. Wycofała się po cichu. Dopiero po chwili odwróciła głowę. Lecz tamtych dwoje już znikło w głównym holu rezydencji.

Rhiannon wróciła do zajmowanego przez Lee skrzydła budynku. Spakowała najpotrzebniejsze rzeczy. Perły włożyła do pudełeczka wraz z krótką notką. Położyła je na poduszce. Zmieniła ubranie, następnie wyszła przez werandę do garażu. Na szczęście żaden samochód nie zatarasował wyjazdu, toteż wyprowadziła błękitnego mercedesa bez większych trudności, nie licząc tej jednej: łyzy przesłaniały jej widok.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W połowie drogi w kierunku Mount Tamborine-Nerang dostrzegła tuż przed sobą samochód policyjny. Zaraz potem policjanci dali sygnał, żeby się zatrzymała. Tylko tego jej brakowało! Nie obawiała się badania alkomatem. Po jedynym kieliszku brandy przez kilka godzin nie wzięła do ust ani kropli alkoholu. Jednak po wydarzeniach minionego wieczoru zawiodły ją nerwy. Zamiast na hamulec nacisnęła na pedał gazu. Nie ujechała daleko, gdy dostrzegła, że świeci się żaróweczka, sygnalizująca brak paliwa w zbiorniku. Dopiero wtedy oprzytomniała. Zwolniła, zjechała na pobocze, zatrzymała auto i otworzyła okno. Z radiowozu wysiadł wysoki mężczyzna, mniej więcej w wieku Lee. Ruszył w jej kierunku, lecz bez alkomatu w rękę. Ponieważ Rhiannon nie patrzyła na szybkościomierz, nie potrafiła powiedzieć, czy przekroczyła dozwoloną prędkość. Już otwierała usta, żeby spytać, z jakiego powodu została zatrzymana, gdy wymienił jej nazwisko.

- Tak, nazywam się Richardson, ale skąd pan wie? - wykrztusiła, bezgranicznie zdumiona.

Funkcjonariusz zignorował pytanie. Wskazał ręką policyjny samochód, z którego powoli wysiadła kobieta z telefonem komórkowym przy uchu. Zanim podeszła bliżej, zakończyła rozmowę.

- Pozwoli pani, że przedstawię koleżankę, Laure Givens. Ja nazywam się sierżant Jim Daley. Przeprowadzamy rutynową kontrolę kierunkowskazów, świateł hamowania i tak dalej. Na ogół kierowca dowiaduje się ostatni, że nie działają - wyjaśnił sierżant. - Dlatego prosimy kolejno je włączyć.

Rhiannon zacisnęła zęby, lecz wykonała polecenie. Para funkcjonariuszy bez pośpiechu obserwowała jej poczynania.

- Dziękujemy, wszystko w porządku - orzekł mężczyzna po długich oględzinach. - Proszę teraz pokazać prawo jazdy.

Rhiannon przeszukała jedną torbę, potem drugą, zanim znalazła dokument w torebce. Podała go przez okno.

- Nie zdążyłam jeszcze wyrobić sobie nowego. Wysłałam za męża zaledwie kilka tygodni temu - wyjaśniła.

- Nie szkodzi, to nie przestępstwo, ale proszę nadrobić niedopatrzenie. - Policjant wyprostował się. Oglądał dokument, póki nie nadjechał jeszcze jeden samochód. - To już wszystko, pani Richardson, dziękujemy. Jeszcze tylko mąż chciałby zamienić z panią słówko.

Rhiannon zaniemówiła na widok Lee. Wysiadł z auta, podszedł do nich i wręczył parze w niebieskich mundurach kluczyki.

- Bardzo wam dziękuję. Wyświadczylście mi wielką przysługę. Byłbym wam wdzięczny, gdybyście odprowadzili mój samochód do Southall. Wróć do domu z żoną. Rhiannon, przesiądź się obok, ja poprowadzę.

Rhiannon otworzyła usta, ale nie padło z nich ani jedno słowo. W ostatniej chwili doszła do wniosku, że nie wypada robić sceny w obecności policji.

- Jak mogłeś napuścić na mnie policję! - wykrzyczała, gdy odjechali kawałek. - Napisałam przecież, że zostawię mercedesa na lotnisku!

- Laura i Jim to moi przyjaciele. Znam ich z klubu sportowego. Pomagają też regulować ruch przy kościele. Poprosiłem Jima przez prywatny telefon, żeby cię zatrzymali, póki nie dotrę na miejsce. Szukałem ciebie, a nie samochodu. Zresztą należy do ciebie - dodał, zmieniając bieg przed ostrym zakrętem.

- Nie zastanawiałeś się, co sobie pomyślą?

- A czy tobie nie przyszło do głowy, że uciekając z domu, sama sobie psujesz opinię? - odparował. - Nawiasem mówiąc, tylko Jim i Laura wiedzą o twoim wybryku. Marta i Mary okłamałem, że wyjechałaś w odwiedziny do ojca.

- To nie żart, Lee. Zwracam ci wolność. Daję

wam z Andrea wolną rękę. Nie w mówisz mi, że wasze uczucie umarło. Andrea jest już wolna, tylko ja stanowię przeszkodę. - Przerwała, wzięła głęboki oddech, gorączkowo szukając odpowiednich słów. Nie chciała wzbudzać w nim poczucia winy, nie zniosłaby jego litości. Dokładała wszelkich starań, aby opanować drżenie głosu. - Dziękuję ci za piękne chwile, za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, ale uważam, że najwyższa pora zakończyć ten koszmar. Może i byłam dla ciebie odpowiednią żoną, ale nigdy bratnią duszą - dodała na zakończenie.

- Czy to samo czułaś w Bloomfield?

- Chyba uległam nastrojowi chwili. Sądzę, że robiłeś wszystko, żeby zapomnieć o Andrei. Trudno, nie wyszło. Powinnam była odejść, gdy tylko dowiedziałam się, jaką rolę odegrała w twoim życiu - dodała, wzruszając ramionami.

- Nie pozwolę na to! - zaprotestował gwałtownie. - Wytłumacz mi, na jakiej podstawie wyciągnęłaś tak daleko idące wnioski?

Rhiannon wzięła kilka głębokich oddechów, w desperackiej próbie zapanowania nad emocjami.

- Trudno o logiczne uzasadnienia, kiedy stoję w przededniu zorganizowania sobie życia na nowo, ale im szybciej się rozstaniemy, tym lepiej. Widziałam, jak na nią patrzyłeś w korytarzu prowadzącym do twoich apartamentów. Nikt mnie nie przekona, że nie łączy was uczucie. Nikt ani nie

- podkreśliła z naciskiem. Lee otworzył usta, ale nie dopuściła go do głosu: - Znalezienie mieszkania dla taty i cioci zajmie mi co najmniej kilka dni, spłacenie długu wobec ciebie jeszcze dłużej. Mam nadzieję, że zechcesz nas tolerować jeszcze przez jakiś czas... - zamilkła, gdy Lee gwałtownie zjechał na pobocze i zahamował z piskiem opon.

- Nie opuścisz mnie z dwóch powodów - powiedział, zwracając ku niej pociemniałe nagle oczy. - Po pierwsze, w moim życiu nie ma miejsca dla Andrei, czy w to wierzysz, czy nie. Po drugie: nie wiemy, czy nie jesteś w ciąży. Trochę ryzykowaliśmy, prawda?

Rhiannon pobladała. Przeklinała w duchu swoją lekkomyślność.

- Można to sprawdzić. Zrobię testy.

- Proszę bardzo, czemu nie? Nawet w niedzielę znajdziemy gdzieś dyżurną aptekę. Ale niezależnie od wyniku nie pozwolę ci odejść.

Rhiannon nie słyszała ostatniego zdania. Gorątkowo liczyła dni od ostatniego krwawienia. Czy się opóźniło? Tak, ale nieznacznie. Dzień, dwa, może trochę więcej, pewnie wskutek przemęczenia. Ostatnio intensywnie pracowała. Lee w skupieniu obserwował jej rozszerzone oczy i półotwarte usta.

- Czy to możliwe, Rhiannon? - wyrwał ją z zamyślenia.

- Niewykluczone, ale w nawale zajęć, w wiecz-

nym pośpiechu nie śledziłam przebiegu cyklu - przyznała.

- Spokojnie, wkrótce się przekonamy. - Ujął jej dłoń. - Tylko nie zapominaj, że cokolwiek wykaże test, jesteśmy i pozostaniemy małżeństwem.

Rhiannon otworzyła usta, żeby mu powiedzieć, że nie zostanie z nim, jeśli nie oczekuje dziecka, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. Jak się okazało, straciłaby tylko czas i energię.

Była w ciąży. Lee przyjął wiadomość spokojnie, znacznie spokojniej niż Rhiannon. Zrobiła test w luksusowym apartamencie hotelu na Żłotym Wybrzeżu. Gdy odczytała wynik, jej uczucia oscylowały pomiędzy nadzieją, świadomością, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia, a lękiem, że to dziecko również straci. Nawet nie protestowała, gdy zamknął ją w objęciach. Powiedziała sobie, że nawet jeśli nie łączy ich romantyczne uczucie, nie zostanie sama jak podczas poprzedniej ciąży, a maleństwo będzie mieć ojca. Dawał jej oparcie, którego potrzebowała.

- Obiecay mi, że już nigdy ode mnie nie uciekniesz, Rhiannon - poprosił.

- Obiecuję - odpowiedziała.

Zostali na wybrzeżu przez tydzień, podczas którego Rhiannon odwiedziła ginekologa i położnika. Obydwaj lekarze kazali jej uważać na siebie,

uspokoili jednak, że nie grozi jej następne poronienie. Zabronili tylko intensywnego wysiłku. Lee nie skomentował diagnozy, bez słowa protestu zgodził się na spanie w osobnym łóżku. Rhiannon wolała nie roztrząsać, czemu tak łatwo zaakceptował zalecenie lekarzy, choć wcześniej nalegał, żeby z nim została. W obliczu radykalnych zmian postać Andrei zbladła w jej wyobraźni. Prawdopodobnie sam umysł wiedziony instynktem samozachowawczym wyrzucił rywalkę z pamięci. Gdyby o niej myślała, oszalałaby z rozpacz.

- Zobacz, w przeciągu kilku miesięcy rodzina zyska dwóch nowych członków - powiedziała w drodze powrotnej z gabinetu lekarskiego.

- Tak, rośnie nowe pokolenie Richardsonów.

Rhiannon uznała, że najwyższa pora uświadomić męża, że Andrea mu groziła. Nie zdążyła jednak otworzyć ust, gdy sam poinformował ją, że wróciła do Francji, do dawnego stylu życia.

- Wyjechała pełna nadziei i nowych pomysłów, aczkolwiek nie do końca z własnej woli. Matt odegrał nieocenicioną rolę w negocjacjach. Spędzą u niej wakacje z Mary. Jak wiesz, obie panie doskonale się rozumieją. Andrea ma tam wielu przyjaciół, układy w wyższych sferach. Z tego, co wiem, zamierza spróbować swych sił jako projektantka strojów - dodał na koniec. Oderwał rękę od kierownicy i przykrył nią dłoń żony.

- A więc księga przeszłości została zamknięta?

- Tak, możemy spokojnie zacząć pisać nową, naszą własną - zapewnił Lee z uroczystą powagą.

Nie do końca przekonał Rhiannon. Niespodziewane spotkanie w korytarzu ciągle tkwiło jak zadra w jej pamięci. Wciąż nie wierzyła, że uczucie pomiędzy jej mężem a młodą macochą wygasło, choćby ze wszystkich sił temu zaprzeczał. Uznała jednak, że drażnienie bolesnego tematu nie prowadzi donikąd. Lepiej pogrzebać przeszłość i rozpocząć wszystko od nowa. Popatrzyła na mocną, kształtną rękę, przykrywającą jej dłoń.

- To dobrze - wyszeptała.

Mary urodziła Mattowi córeczkę, rudowłosą, jak matka. Dali jej na imię Tabitha. Lee i Rhiannon zdecydowali, że nie chcą znać płci dziecka przed urodzeniem. Ciąża przebiegała bez powikłań, a od dnia szaleńczej ucieczki życie Rhiannon płynęło przyjemnie i spokojnie. Ojciec całkowicie wyzdrowiał. Polubił Southall, a zięć dosłownie podbił jego serce. Prowadził wraz z siostrą intensywne życie artystyczne i towarzyskie. Założyli z Sharon towarzystwo muzyczne. Przy pomocy Rhiannon organizowali koncerty w ogrodzie rezydencji, które szybko zyskały popularność i przyniosły im sławę w całej okolicy. Luke Fairfax od czasu do czasu miewał wprawdzie ataki melancholii, lecz depresja minęła bez śladu. Przeżył trudne chwile, gdy odkrył powiązania Lee z firmą transportową,

której był winien pieniądze, lecz zięć przekonał go, że nie żywi do niego urazy. Natomiast ciocia Di znalazła w Cliffie bratnią duszę. Christy przychylnym okiem patrzyła na ich zażyłość.

Nawet piekielna Poppy przestała stwarzać kłopoty. Utemperował ją Lee, bo Rhiannon zgodnie z zaleceniem lekarza unikała kontaktu z końmi. Wbrew obawom Rhiannon Lee nie nudził się w domu z żoną. Zrealizował zamysł, który chodził mu od dawna po głowie: przeznaczył część obszaru Southall na centrum jeździeckie. Rhiannon aktywnie uczestniczyła w pracach projektowych. Tereny przy głównej stajni przeznaczyli na maneż, tor przeszkód i basen dla koni.

Lee wyjeżdżał w interesach, ale tylko wtedy, gdy wymagała tego konieczność. Nie zostawiał jednak Rhiannon samej. Ojciec i ciocia dotrzymywali jej towarzystwa. W sumie mimo wszelkich ograniczeń prowadziła ciekawe, choć nie tak aktywne jak wcześniej życie. Musiała przyznać, że wszystko układało się niemalże tak, jak sobie życzyła. Domownicy darzyli się wzajemnym szacunkiem i zaufaniem. Poślubiła wiarygodnego człowieka, który zapewnił jej godne życie, szanował ją, nie ranił i nie krzywdził. Tylko że teraz przestało jej to wystarczać. Gdy Lee wyjeżdżał, ogromnie za nim tęskniła. Czyżby nie potrafiła dotrzymać najważniejszego z postanowień: że nigdy nikogo nie pokocha? Czy już wtedy, gdy nauczona koszmar-

nym doświadczeniem zdecydowała zamknąć serce przed miłością, oszukiwała samą siebie?

Zupełnie nieoczekiwanie, dwa tygodnie przed porodem, Mary bezwiednie otworzyła na oczach Rhiannon prawdziwą puszkę Pandory. Spędzała wraz z Mattem i córeczką weekend w Southall. Z powodu zimna siedzieli w najcieplejszym pokoju przed kominkiem. Trzymiesięczna Tabitha już leżała w łóżeczku. Wbrew wszelkim oczekiwaniom Mary Richardson z entuzjazmem pełniła macierzyńskie obowiązki. Chętnie służyła też radą przyszłej mamie. Lecz pomysł, na który wpadła tym razem, zburzył spokój rodziny.

- Słuchajcie, kiedy Rhiannon urodzi, proponuję urządzić podwójne chrzciny. To będzie uroczystość stulecia! Andrea jest tego samego zdania. I tak miała zamiar wpaść z wizytą, więc niech przyjedzie na rodzinną imprezę.

Rhiannon zamarła z otwartymi ustami, podobnie jak Matt. Lee jako jedyny zabrał głos:

- Nie, Mary, mamy z Rhiannon inne plany.
- Czyżby? Czy też jeszcze nie wybaczyłeś Andrei, że wyszła za twego ojca? - dociekała bratowa, potrząsając z niedowierzaniem rudymi loczkami.
- Nie, nie żywię do niej urazy, a zaproszenie na chrzciny naszego maleństwa dostaniesz we właściwym czasie. - Przerwał, zaczął nasłuchiwać.
- Chyba twoja córeczka płacze.
- Tak - wtrącił Matt. - Chyba pójdziemy wcześ-

niej spać, kochanie - zaproponował pojednawczo. Ujął żonę za rękę i wyprowadził do przeznaczonej dla nich sypialni.

Lee zamknął za nimi drzwi. Później dorzucił świeże polano do kominka i usiadł z powrotem obok Rhiannon.

- Mary nigdy się nie zmieni - stwierdził.
- Czy wie, co was łączyło?
- Chyba nie. Matt za nią szaleje, ale chyba nie do tego stopnia, żeby zdradzać jej moje sekrety.

Całe to zdarzenie ogromnie rozdrażniło Rhiannon, która wyjątkowo źle znosiła ostatnie tygodnie ciąży. Z najwyższym trudem przybrała pogodny wyraz twarzy.

- Moim zdaniem Mary wpadła na świetny pomysł. Zorganizowałabym wspaniałe przyjęcie, a wielki zjazd rodzinny stworzyłby okazję do zawarcia trwałego pokoju z Andrea.

Lee przez dłuższą chwilę obserwował ją w milczeniu.

- Co chcesz mi powiedzieć, Rhiannon? - zapytał w końcu ze zwięzonymi w szparki oczami.
- Ze podjęłam decyzję i nie zamierzam jej zmieniać - oświadczyła z udawanym spokojem.
- Możesz oznajmić Mary, że zmieniłeś zdanie
- dodała, nie kryjąc wrogości.
- Posłuchaj...
- Nie mam najmniejszej ochoty - odburknęła.
- Lepiej idź, wolę zostać sama.

Lee długo mierzył ją wzrokiem, zanim wstał i wyszedł.

Następnego ranka wyglądała blado.

Po wyjeździe Matta i Mary Lee zaskoczył ją w gabinecie swojej matki.

- Źle wyglądasz, Rhiannon - stwierdził po dłuższej obserwacji. - Awantury i brak snu nie służą ani tobie, ani dziecku.

- Jestem zdrowa i na ogół dość szczęśliwa w roli żony bogatego szefa - odburknęła z urazą.

- Co też ci przyszło do głowy, Rhiannon? Czy kiedykolwiek okazywałem ci wyższość?

- Właściwie nie. Często traktujesz mnie jak księżniczkę - przyznała uczciwie. - Ale męczy mnie twój despotyzm. We wszystkich sprawach podejmujesz jednoosobowe decyzje, nie pytając mnie o zdanie.

- Chyba nic dziwnego, że nie odpowiada mi udawanie rodzinnej sielanki z udziałem macochy. Jeżeli starczy ci cierpliwości, żeby poznać mój punkt widzenia, sama zrozumiesz, jak niesprawiedliwie mnie oceniasz. Otóż Andrea...

Ale Rhiannon nie chciała słuchać. Zatkała uszy i opuściła gabinet.

Przez cały dzień lało jak z cebra. Potoki wody zamieniły szosy w rwące strumienie, wichura łamała drzewa. Wyglądało na to, że nawałnica potrwa całą noc. Rhiannon i Lee zostali w domu sami. Ciocia Diana wraz z bratem wyjechali na koncert

do Brisbane, Cliff zabrał Christy na wakacje. Sharon z powodu fatalnej pogody również dostała wolne. Lecz fatalny nastrój Rhiannon nie wynikał tylko z kaprysów aury.

Nie dość, że palił ją wstyd z powodu wczorajszej awantury, to jeszcze w głębi duszy nadal żywiła urazę do męża. Schodziła mu z drogi, co nie nastrecało większych trudności. Lee przez cały rano patrolował stajnie, pracował w założonym przez siebie ośrodku jazdy konnej, a później ratował pasażerów samochodu, który utknął na zalanym przez wezbraną rzekę moście.

Solidne mury starego domostwa zniosły bez szwanku ataki nawałnicy. Rhiannon siedziała w ciepłe, bezpieczna, lecz niespokojna. Z całego serca współczuła zarówno tym, których burza zaskoczyła w drodze, jak i zmagającym się z żywiołem ratownikom. Wreszcie zasnęła na sofie przed kominkiem, wyczerpana po bezsennej nocy. Gdy otworzyła oczy, mąż już siedział obok, wykąpany i przebrany w suche rzeczy. Usiadła, położyła rękę na obolałym kręgosłupie.

- I co? Uratowaliście ich? - spytała.

- Tak, są bezpieczni. Ale Southall zostało odcięte od świata.

Połamane drzewa zatarasowały drogi. Nie mamy prądu, telefony też nie działają. Dobrze, że przygotowałem kilka lamp gazowych i naftowych.

Rhiannon poczuła silny ból w plecach. Czyżby to już? - pomyślała z przerażeniem.

Wmawiała sobie właśnie, że to niemożliwe, kiedy odeszły jej wody płodowe. Lee natychmiast dostrzegł jej przerażenie.

- Rodzę, Lee... - wystękała z przerażeniem.
- W taką noc nie dotrzemy do szpitala.

- Tylko spokojnie, Rhiannon. Wezwiemy pogotowie przez telefon komórkowy. - Ujął ją za rękę. - Oddychaj spokojnie i licz czas pomiędzy skurczami. Prawdopodobnie mamy co najmniej kilka godzin, moja piękna syrenko. - Wręczył jej zegarek.

O dziwo, pieścizotliwe przezwisko, którego użył po raz pierwszy od podróży poślubnej, poprawiło jej nastrój.

Pół godziny później dowiedzieli się, że awionetka nie może wystartować z powodu burzy. Przyleci najwcześniej za kilka godzin. Lekarz poinformował Lee, że pierwszy poród zwykle trwa długo, ale muszą być przygotowani na każdą ewentualność. -

Lee przeniósł najpierw łóżko, a potem samą Rhiannon w najcieplejsze miejsce, czyli do pokoju z kominkiem. Przebrał ją w nocną koszulę, przyniósł kilka ręczników, mydło i miednicę z wodą. Wygotował też parę nożyczek na kuchence gazowej. Na koniec zaparzył dla obojga po filiżance herbaty, ponieważ odstępy między skurczami

trwały po dziesięć minut, a ból nie był jeszcze zbyt dotkliwy.

- Dzięki temu, że wyciągnęłaś mnie do tej okropnej szkoły rodzenia, przynajmniej wiem, co robić - zażartował ze słabym uśmiechem.

- Wcale cię nie ciągnęłam. Zdawałam sobie sprawę, że to krępujące dla mężczyzny.

- Może to trochę niestosowne porównanie, ale odebrałem już żrebaka i dwa cielaki, a więc nie brak mi doświadczenia - uspokajał dalej. - Możesz mi zaufać.

- Ufam - wyszeptała.

Później w milczeniu słuchali bębnienia deszczu o szyby. Lee patrzył w ogień.

- Często wspominałem naszą podróż poślubną - powiedział nieoczekiwanie. - Rozpaliłaś moją wyobraźnię, uwodziłaś i czarowałaś jak syrena z najpiękniejszych baśni. Twój nieodparty wdzięk sprawił, że pragnąłem cię i pragnę jak nikogo na świecie. W tych dniach nawiązaliśmy niezwykłą, magiczną więź. Ostatnio bardzo mi jej brakowało.

Rhiannon dostrzegła cierpienie w jego oczach, głębokie zmarszczki wokół ust, lecz zanim zdążyła odpowiedzieć, nadeszła kolejna fala skurczów, bardziej bolesnych niż poprzednie. Wzięła kilka spokojnych, powolnych oddechów, póki ból nie ustąpił. Lee odczekał kilka minut, cały czas trzymając ją za rękę.

- Wiedz, że za skarby świata nie chciałbym być

gdzie indziej, ani z nikim innym - zapewnił, gdy dostrzegł, że już nie cierpi. - Przyznaję, że wtedy, w korytarzu, gdy wpadłem na Andreeę, przeszłość na moment odżyła w mojej wyobraźni, lecz piękne wspomnienia szybko przysłoniły inne, mroczne i złe. Pamiętałem już tylko jej intrygi i manipulacje, jakby tamta Andrea, którą niegdyś kochałem, umarła. Pojąłem, że usiłuje mnie poróżnić z jedyną miłością mego życia: ze wspaniałą, czułą, mądrą i pełną uroku kobietą, którą poślubiłem. Przysiągłem sobie, że jej na to nie pozwolę, bo wiedziałem już, że straciła nade mną władzę. Lecz kiedy zobaczyłem perły na poduszce, świat przestał dla mnie istnieć.

- Dlaczego mi tego wszystkiego nie powiedziałeś po tym, jak zatrzymała mnie policja? - wykrztusiła Rhiannon z wysiłkiem.

- Zamierzałem to zrobić w bardziej stosownej chwili. Wtedy zresztą i tak byś mi-nie uwierzyła. Byłaś przekonana, że poślubiłem cię z konieczności, że nasze małżeństwo to nic innego jak układ handlowy, zawarty w celu rozwiązania problemów obydwu stron. Postanowiłem więc przekonać cię swoim postępowaniem, jak bardzo cię kocham. Kiedy okazało się, że jesteś w ciąży, również zasięgnąłem porady lekarza. Wyjaśnił mi, że po wcześniejszym poronieniu może cię dręczyć niepokój o życie dziecka. Zalecił maksymalną ostrożność. Zdecydowałem więc oszczędzić ci zbędnych

emocji, byś mogła w spokoju urodzić. Dlatego odłożyłem na później poruszenie bolesnej kwestii.

- Och, Lee... - wyszeptwała. Nie zdołała powiedzieć nic więcej, bo jej twarz wykrzywił grymas bólu, a na czoło wystąpiły kropelki potu.

- Oddychaj spokojnie, tak jak cię nauczyli, najmilsza - przypomniał Lee z bezbrzeżną czułością. Otarł jej twarz ręcznikiem. - Przejdziemy przez to razem, damy sobie radę - zapewnił z całą mocą.

Zaczął oddychać w odpowiednim tempie, nadawał rytm, jakby tworzyli jedno ciało. Promieniował siłą i pewnością siebie. Samą obecnością, całkowitą koncentracją na jej osobie koił jej lęki, dodawał otuchy, tak że dzielnie znosiła ból. Gdy wreszcie minął, poczuła, że po policzkach płyną jej łzy, nie z powodu fizycznych cierpień, lecz ze wzruszenia i szczęścia. Pomyślała, że właśnie dramatycznym okolicznościom zawdzięcza to, że przekonał ją o swej miłości. Ujęła jego rękę.

- Powtarzałam uparcie, że zawarliśmy małżeństwo z rozsądku tylko dlatego, że... - Przerwała. - Byłam przekonana, że kocham cię bez wzajemności. Tak, Lee, pokochałam cię niemalże od pierwszego wejrzenia. Uciekłam, bo złamane serce krwawiło. Umierałam z rozpacz, dłużej nie mogłam tego znieść. Wolałam natychmiastowe rozstanie niż całe lata cierpienia u boku mężczyzny, który nie odwzajemnia mojej miłości - wyznała.

- Byłem głupcem - przyznał po chwili wahania, już nieco odprężony. Ujął jej twarz w dłonie i delikatnie ucałował oba policzki. - Swoją drogą, starannie ukrywałaś swoje uczucia. Przez cały czas trzymałaś mnie na dystans.

- To była tylko taktyka obronna, a po kryjomu wylałam w poduszkę morze łez.

- Więc czemu wczoraj zachowywałaś się, jakbyś nienawidziła mnie z całego serca?

- Nagle dopadło mnie zniechęcenie, znużenie ciężą, nieodwzajemnioną, jak myślałam, miłością, skrywanymi obawami i zazdrością o Andreę. Na domiar złego miałam do ciebie żal, że przestałaś szukać ze mną kontaktu, choć sama cię odpychałam. Chyba straciłam zdolność logicznego myślenia. Okropnie mi wstyd - wyznała ze skrucą.

- Nie rób sobie wyrzutów, kochanie. Sama mnie uświadomiłaś, że ciężarne miewają zmienne nastroje. Powiedz tylko, czy uwierzyłaś w końcu w moją miłość?

- Tak. Tylko zakochanego mężczyznę stać na to, by asystować przy porodzie żony. Kiedy zdecydowałaś, że w razie potrzeby sam odbierzesz poród, pojęłam, że jesteś moim oparciem, że stanowimy jedno ciało i jedną duszę. Poczułam, że dotarłam do bezpiecznej przystani. Bardzo cię kocham, Lee.

- Bogu niech będą dzięki! Ja ciebie też kocham nad życie, moja piękna, mała syrenko. - Objął ją

mocno, przytulił do siebie, jakby chciał zatrzymać ją w objęciach na całą wieczność.

Lecz rodzących się dzieci nie interesują miłosne uniesienia. Biologia dyktuje im własny rytm, niezależny od uczuć i pragnień dorosłych. Wkrótce ból przybrał na sile, skurcze następowały coraz częściej. Lee wstał, uspokoił żonę, zadzwonił do lekarza i zdał dokładne sprawozdanie z przebiegu akcji porodowej. Po zakończeniu rozmowy nie przerwał połączenia. Wrócił do Rhiannon, ujął ją za rękę.

- Podobno bijesz wszelkie rekordy szybkości pierwszego porodu. A teraz słuchaj moich poleceń. Przyj, kiedy ci powiem. Dasz radę?

Rhiannon skinęła głową. Niedługo potem przyszła na świat zdrowa, jasnowłosa dziewczynka. Nazwali ją Reese Margaret Richardson, po obydwu babciach. Lee oddał żonie telefon. Rhiannon przekazała lekarzowi dobrą nowinę i odebrała gratulacje. Kilka minut później Lee podał żonie owinięte w ręcznik dziecko, umył ręce i ponownie zajął miejsce na krześle przy łóżku. Patrzył ze wzruszeniem, jak Rhiannon tuli córeczkę do piersi. Jego twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

- Muszę się napić! - stwierdził po chwili odpoczynku. - Chyba nigdy nie potrzebowałem czegoś mocniejszego tak bardzo jak dzisiaj.

Rhiannon wyciągnęła ku niemu rękę.

- Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobi-

łeś, ale przede wszystkim za twoje serce, twoje oddanie.

- Zawsze będę cię kochał, jedyna.

Rok później, w dniu pierwszych urodzin Reese, zostali dłużej w łóżku. Na dworze znów szalała ulewa i panował przenikliwy ziąb. Nieoczekiwanie Lee wręczył jej kolejne czarne, skórzane pudełeczko ze złotym ornamentem.

- Przecież to nie moje urodziny - roześmiała się Rhiannon.

- Nie szkodzi. To nasza wielka rocznica. Rok temu, przy takiej samej pogodzie podarowałaś mi nie tylko Reese, ale i nadzieję na wspólną, szczęśliwą przyszłość.

Rhiannon nacisnęła zamek. Zaparło jej dech na widok przepięknej pary kolczyków z perłami z Morza Południowego, oprawionych w złoto z diamentkami. Pasowały idealnie do sznura pereł na szyi.

- Jakie piękne! - westchnęła. - Jakim cudem dobrałaś je do naszyjnika?

- Kupiłem obie sztuki biżuterii razem. Czekałem tylko na odpowiednią okazję, by ci je podarować. Marzyłem o tym, żeby ujrzeć cię w łóżku ubraną tylko w naszyjnik i kolczyki. Uznałem, że najwyższa pora spełnić to marzenie - wyjaśnił, kładąc się z powrotem obok niej.

- Chyba to niezbyt odpowiedni strój na urodziny

dziecka - roześmiała się Rhiannon, gdy trochę ochłonęła z wrażenia. - Za to ja uwielbiam cię w jednodniowym zaroście na twarzy.

Z sąsiedniego pokoju dobiegło kwilenie. Lee i Rhiannon zacisnęli powieki, lekko sfrustrowani. Lee wstał pierwszy.

- Zostań tutaj, kochanie, przyniosę ci dziecko.

Rhiannon z zadowoleniem przyjęła propozycję. Włożyła koszulę i czekała na dwie najukochańsze osoby. Wkrótce jej uszu dobiegły dźwięki rozmowy z sąsiedniego pokoju.

- Dobrze spałaś, tygrysku? - spytał Lee z bezbrzeżną czułością.

- Ta, ta, ta! - potwierdziła Reese.

Twarz Rhiannon rozjaśnił promienny uśmiech.